

MARY BALOGH

GARŚĆ ZŁOTA

*Dla Roberta, dzięki któremu
Święta Bożego Narodzenia
Są zawsze cudowne*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dżentelmen rozparty niedbale w fotelu ustawionym przed dogorywającym w kominku ogniem miał za sobą ciężką noc. Szare, długie do kolan spodnie i białe pończochy z wytwornego jedwabiu były pomięte. Nieopodal fotela wałały się na podłodze trzewiki, które zrzucił z nóg. Elegancki frak z długimi połami, który jeszcze wczesnym wieczorem obciskał go niczym druga skóra, teraz leżał ciśnięty niedbale na jedno z krzeseł.

Wyszywana ręcznie, wytworna kamizelka była rozpięta, a fular, którego ułożenie zajęło służebnemu dobre pół godziny, zwisał niesymetrycznie na lewym ramieniu. Ciemne, zaczesane w niesforną, artystyczną fryzurę włosy, teraz były po prostu rozczochrane. Znużony dżentelmen przymykał podpuchnięte, przekrwione oczy. W przerzuconej przez poręcz fotela ręce trzymał pustą szklanę.

Julian Dare, wicehrabia Folingsby, mimo zmęczenia i niechlujnego wyglądu, niewątpliwie był przystojnym mężczyzną.

W tej chwili był pijany, choć nadużywanie trunków nie leżało w jego naturze. Jego największym grzechem był hazard i kobiety, co sprawiało, że prowadził raczej awanturniczy tryb życia. Ale opojem nie był. Miał szczerzy zamiar pewnego dnia, jak to określał jego ojciec, „ustatkować się”, zapomnieć o „hulaszczym trybie życia” i zostać godnym następcą earla Granthama. Byłoby rzeczą fatalną borykać się z uzależnieniami, kiedy już ten czas nastąpi. Ale hazard i kobiety nie stanowiły uzależnienia. Julian po prostu przepadał za nimi ponad miarę.

Ziewnął szeroko. Był ciekaw, która jest godzina. Za oknami wciąż jeszcze panowały egipskie ciemności; niewielka pociecha, gdyż w grudniu brzask nadchodził bardzo późno. Z całą pewnością minęła północ. I to minęła bardzo dawno. Soiree u swej siostry opuścił przed północą, a następnie udał się do klubu White's, gdzie do pierwszej lub drugiej... naprawdę do pierwszej lub drugiej... zabawiał się ostrą grą w karty i jeszcze ostrzejszym pijaństwem.

Powinien dźwignąć się z fotela i udać się do łóżka, lecz był to wysiłek ponad jego siły. Powinien zadzwonić na lokaja, który po prostu zaniósłby go do sypialni. Ale nie miał nawet siły podejść do dzwonka. Poza tym wątpił, czy zdołałby zasnąć. Z doświadczenia wiedział, że po tęgim pijaństwie zdecydowanie bardziej odpowiadała mu pozycja wertykalna niż horyzontalna.

Co za diabeł go podkusił, by tak bardzo przebrał miarę?

Nawet pijaństwo nie przyniosło zapomnienia, i dobrze wiedział dlaczego.

Dziedziczka. Panna Plunkett. Nie... lady Sarah Plunkett. Co za nazwisko! A na nieszczęście dzierlatka miała buzię i usposobienie całkowicie pasujące do nazwiska. Na Boże Narodzenie zamierzała pojawić się w Conway w towarzystwie swoich rodziców. Emma, jego najmłodsza siostra, wspomniała o tym w liście, który dotarł doń tego ranka... to znaczy ranka poprzedniego dnia. Dodał dwa do dwóch i nieuniknienie wyszło mu cztery. Nie potrzebował znajomości arytmetyki ani umiejętności dedukcji.

List od ojca, który czytał w następnej kolejności, stawiał sprawę dużo bardziej dosadnie. Święta w Conway spędzi nie tylko panna Plunkett i jej rodzice, ale ma też dołączyć Julian i okazać dziewczynie wielkie zainteresowanie. Ostatecznie Julian liczył już dwadzieścia dziewięć lat, a na razie nie wybrał dla siebie żadnej panny. Ojciec i tak już wystarczająco długo okazywał cierpliwość. Ponieważ miał tylko jednego syna, a pięć córek, z których trzy były jeszcze niezamężne, jego obowiązkiem jako rodzica...

Wicehrabia Folingsby przeciągnął palcami wolnej ręki po włosach i zerknął na stojącą nieopodal karafkę z brandy. Naczynie znajdowało się wręcz nieprzyzwoicie daleko.

Nie zamierzał poślubić panny Plunkett, to tyle! Jasno i prosto. Nikt nie zdołałby go do tego skłonić; nawet surowy, choć bardzo kochający ojciec. Nawet troskliwa matka i oddane mu całym sercem siostry. Skrzywił się. Dlaczego los obdarzył go tak serdeczną i kochającą rodziną? I dlaczego jego matka zajęła się rodzeniem samych córek po pierwszym, triumfalnym urodzeniu syna, dziedzica tytułu earla, jego rozległych posiadłości i fortuny? W przypadku braku męskiego potomka cały ten majątek, zgodnie z prawem majoratu, co do pensa przypadłby dalekiemu kuzynowi.

Jego lordowska mość ponownie zerknął z desperacją w stronę karafki z brandy, lecz żadną miarą nie był w stanie dźwignąć się z fotela i wprawić nóg w ruch.

W porannej poczcie znajdował się jeszcze jeden list. Od Bertiego. Bertrand Hollander był jego serdecznym przyjacielem i współpiskowcem przez wszystkie lata spędzone w szkołach i na uniwersytecie. Wciąż pozostawali sobie bliscy, choć Bertie większość czasu przebywał w północnej Anglii, gdzie nadzorował swoją posiadłość. Ponadto miał domek myśliwski w Norfolkshire oraz kochankę w Yorkshire i podczas Bożego Narodzenia zamierzał przedstawić ją Julianowi. Od spędzenia świąt w gronie rodzinnym wymówił się polowaniem w towarzystwie przyjaciół. Naprawdę zaś zamierzał spędzić tydzień ze swoją Debbie z dala od ciekawskich oczu postronnych osób. Pragnął, by dołączył do nich również Julian ze swoją utrzymanką.

Julian chwilowo nie miał żadnej kochanki. Z ostatnią rozstał się przed kilkoma miesiącami, gdyż wieczory spędzane w jej towarzystwie stały się w równym stopniu

przewidywalne i tak samo nudne jak wieczory spędzane na cotygodniowych, bezbarwnych balach w Almack. Później nawiązał sympatyczny, satysfakcjonujący obie strony, romans z pewną wdową. Była cieszącą się szacunkiem damą o nieskazitelnej reputacji i Julian w żadnym wypadku nie mógł zaproponować jej uroczego, pełnego grzechów tygodnia w towarzystwie Bertiego i jego Debbie.

Do licha, byłem bardziej pijany, niż sądziłem, pomyślał nieoczekiwanie Julian. Ubiegłego wieczoru, jeszcze przed udaniem się na soiree u Elinor, wpadł do opery. Nie dlatego, by był szczególnym miłośnikiem muzyki, w każdym razie nie przepadał za operą. Udał się tam w celu ujżenia na własne oczy obiektu najnowszych plotek, jakie krążyły wśród bywalców White's. Głosiły one, że pojawiła się nowa tancerka wyjątkowej urody. Ale też w ciągu kilku tygodni, które upłynęły od chwili, gdy po raz pierwszy wystąpiła na scenie, nie zadebiutowała też w łóżu żadnego z jej wielbicieli. Może czekała na tego, kto zaproponuje jej najwyższą stawkę? A może czekała na mężczyznę jej marzeń? Może była po prostu cnotliwą niewiastą?

Julian, mając świeżo w pamięci wezwanie od ojca i zaproszenie Bertiego, udał się do opery, by sprawdzić, o co był ten cały krzyk.

Wiele mówiono o smukłych, kształtnych nogach, o szczupłym, gibkim ciele i długich, tycjanowskich włosach. Nie rudych, nie wulgarnych. Tycjanowskich. Oraz szmaragdowych oczach.

Pannę Blanche Heyward otaczało grono adoratorów. Jego lordowska mość nie mógł tego dostrzec ze swej łoży podczas przedstawienia. Zrozumiał to dopiero w poczekalni dla artystów, kiedy popatrzył w stronę tancerki.

Otaczali ją wianuszkiem wielbicieli. Julian obserwował dziewczynę niespiesznie przez monokl, a kiedy napotkał jej wzrok, dyskretnie, elegancko skinął głową, po czym dołączył do tłumu dżentelmenów otaczających Hannah Dove, śpiewaczkę o głosie, jak zapewniał właśnie jeden z jej adoratorów, dokładnie takim, jak mówiło jej nazwisko. Za taki komplement nagrodzony został promiennym uśmiechem i dłonią do ucałowania.

Julian po kilku minutach opuścił operę i ruszył do domu swej zamężnej siostry.

Doszedł do wniosku, że mogłoby być interesujące, gdyby spróbował zdobyć ów bastion wątpliwej cnoty, jaki stanowiła Blanche Heyward. A jeszcze bardziej interesujące namówić ją na bożonarodzeniowy tydzień namiętnego romansu w domku myśliwskim Bertiego. Jeśli zdecyduje się na wyjazd do Conway, czekają go jak zwykle gwarne święta oraz dzierlatka Plunkett. Jeśli natomiast zdecyduje się na Norfolkshire...

Postanowił po prostu zdać się na decyzję powabnej tancerki. Jeśli wyrazi zgodę,

pojedzie do Norfolkshire. Na ostatnie szaleństwo. Będzie to łabędzi śpiew jego wolności, hulaszczego trybu życia i całej reszty. Wiosną, gdy modny świat, a wraz z nim dziewczyna Plunkettów, ściągnie do miasta, on spełni swoją powinność. W następane Boże Narodzenie jego żona będzie już tęga od noszonego dziecka.

Jeśli powie nie... naturalnie Blanche, nie dziedziczka... pojedzie do Conway i podda się losowi. Także w tym przypadku na następane Boże Narodzenie jego żona będzie już ciężarna.

Julian sięgnął do szyi, aby zdjąć fular, i skonstatował, że już wcześniej ktoś to zrobił za niego.

Do diabła, była wspaniała. Ale przecież nie dziedziczka. Kto, do licha, był zatem tak wspaniały? Ktoś, kogo spotkał u Elinor? Rozległo się ciche pukanie do drzwi i po chwili w progu, w postawie wyrażającej pełen szacunek, pojawił się lokaj jego lordowskiej mości.

- W samą porę - oświadczył Julian. - Ktoś korzystając z chwili mojej nieuwagi, ukradł mi z nóg wszystkie kości. A to diablo niemiłe uczucie.

- Tak, panie - odparł lokaj, podchodząc do Juliana. - Przez kilka najbliższych godzin będzie pan prosić Boga o to, by ktoś ukradł również pańską głowę. Chodźmy. Proszę objąć mnie za szyję.

- To straszliwa impertynencja - odburknął jego lordowska mość. - Kiedy wytrzeźwieję, przypomnij mi, że mam cię zwolnić ze służby.

- Nie omieszkam, panie - rzekł lokaj.

Kilka godzin przed tym, gdy wicehrabia Folingsby odkrył, iż spoczywa w fotelu przed kominkiem we własnym salonie, że nogi ma pozbawione kości i szaleńczo boli go głowa, do domu stojącego przy jednej z podlejszych uliczek Londynu, weszła panna Verity Ewing. Nie chciała swym powrotem nikomu zakłócać snu. Zamierzała na palcach, nie zapalając świecy i rozważnie unikając ósmego stopnia, który zawsze skrzypiał, wdrapać się po schodach na piętro. A następnie rozebrać się po ciemku, nie budząc blaskiem światła Chastity. Jej chora siostra miała; bardzo lekki sen.

Tego wieczoru szczęście jej nie dopisało. Zanim jeszcze zdążyła postawić stopę na pierwszym schodku, otworzyły się drzwi pokoju na parterze i na korytarz padła smuga światła.

- Verity?

- To ja, mamó - odparła dziewczyna. - Nie musiałaś czekać na mój powrót.

- Nie mogłam zasnąć - odparła starsza kobieta i skierowała się do salonu. Postawiła lichtarz na stole i szczelniej otuliła się szalem. Ogień na kominku zdążył już wygasnąć. -

Wiesz, że zawsze się niepokoję, kiedy wracasz tak późno.

- Po przedstawieniu w operze lady Coleman została zaproszona na kolację i życzyła sobie, bym jej towarzyszyła.

- To bardzo nieuprzejme z jej strony - oświadczyła z naganą w głosie pani Ewing. - To niewybaczalne, by prawie codziennie zatrzymywać córkę dżentelmena długo w noc, a następnie odsyłać ją do domu dorożką, zamiast odwieźć własnym powozem.

- Przynajmniej dobrze, że płaci za tę dorożkę - odrzekła Verity. - Jest zimno i pewnie zmarzłaś. - Nie spytała nawet, dlaczego nie pali się w kominku. Utrzymywanie w nocy ognia stanowiłoby wielką ekstrawagancję w ich domowym budżecie. - Chodźmy spać. Jak czuła się wieczorem Chastity?

- Zakasłała zaledwie trzy czy cztery razy - odparła pani Ewing. - I ani razu nie dostała ataku. Najwyraźniej to nowe lekarstwo zaczyna skutkować.

- Miejmy nadzieję - odrzekła z uśmiechem Verity i wzięła ze stołu świecznik. - Chodź, mamo.

Nie uniknęła jednak zwykłych pytań o operę, o strój lady Coleman, a także o to, kto jeszcze z nimi był, do kogo poszli na kolację, co jedli i o czym rozmawiano przy stole. Verity starała się odpowiadać na wszystko najzwyczajniej, jak umiała, lecz ze względu na matkę dłużej rozwiodła się na temat kosztownego i modnego stroju swej chlebobawczyni.

- Mogę tylko powiedzieć, że lady Coleman jest nader osobliwą damą - oświadczyła ściszym głosem pani Ewing, zatrzymując się przed drzwiami swej sypialni. - Większość dam chce i mieć swoje towarzyszki na usługi przez cały czas i każe im mieszkać u siebie w domu. Choć bardzo niechętnie pozwalają im wracać do domów rodzinnych, wieczorami, kiedy wychodzą na spotkania towarzyskie, nie potrzebują ich usług.

- A zatem złożyło się szczęśliwie, że spotkałam właśnie lady Coleman i zdobyłam jej akceptację - odparła Verity. - Nie zniósłabym mieszkania u niej i widywania się z wami jedynie w dni wolne. Mamo, lady Coleman jest wdową i kiedy wychodzi z domu, potrzebuje damy do towarzystwa. Nie wyobrażam sobie lepszej i przyjemniejszej pracy. Poza tym zajęcie to przynosi całkiem niezły dochód, a niebawem moja gaża jeszcze wzrośnie. Zaledwie dzisiejszego wieczoru lady Coleman - oświadczyła mi, że jest ze mnie bardzo zadowolona i zamierza znacznie podnieść mi pensję.

Wbrew nadziejom Verity jej matka wcale nie sprawiała wrażenia zadowolonej.

- Kochanie - powiedziała cicho - nigdy nie spodziewałam się, że moja rodzona córka będzie musiała szukać pracy. To prawda, wielebny Ewing, twój ojciec, niewiele nam zostawił, ale żyłybyśmy dużo dostatniej, gdyby nie choroba Chastity. A gdyby generał sir

Hector Ewing nie przebywał w Wiedniu na rozmowach pokojowych, z całą pewnością pośpieszyłby nam z pomocą. Ostatecznie ty i Chastity jesteście córkami jego rodzonego brata.

- Niczym się nie trap - powiedziała Verity i pocałowała matkę w policzek. - Jesteśmy razem, cała nasza trójka. Chastity, pod opieką znanego i cenionego doktora, wraca powoli do zdrowia. I tylko to się liczy. Dobranoc.

W chwilę później była już w sypialni i cicho zamknęła za sobą drzwi. Stała chwilę oparta o nie plecami. Zamknęła oczy, dłoń zaciskała na gałce. Ale z ciemnej izby nie dochodził najcichszy dźwięk. Nie było nawet słyhać oddechu pogrążone; w głębokim śnie siostry. Verity szybko rozebrała się i drżąc z przejmującego chłodu, jaki panował w sypialni, weszła do łóżka. Położyła się na boku, podciągnęła kolana pod brodę i nakryła się kołdrą aż po uszy. Szczekała zębami, ale nie tylko z zimna.

Prowadziła niebezpieczną grę.

Tyle tylko, że nie była to gra.

Ile czasu jeszcze upłynie, zanim jej matka dowie się, że żadna lady Coleman, żadna szlachetnie urodzona i hojna pracodawczyni jej córki nie istnieje? Na szczęście do Londynu sprowadzili się ze wsi niedawno i mając tak mało pieniędzy, nie zawarli jeszcze licznych znajomości. Nie znali nikogo, kto obracałby się w wyższych sferach. Przyjechali do miasta z powodu przeziębienia Chastity, którego dziewczyna nabawiła się ostatniej zimy, niedługo po śmierci ojca. Kiedy choroba nie chciała odejść, matka i siostra zrozumiały, że tracą Chastity, jeśli nie zajmie się nią medyk biegłyjszy w sztuce leczenia niż wiejski doktor. Początkowo podejrzewały suchoty, lecz londyński medyk zdecydowanie odrzucił taką możliwość. Oświadczył, że przy stosownych lekach i diecie pacjentka szybko wróci do zdrowia.

Usługi doktora i lekarstwa były nieprawdopodobnie drogie. Czynnosc za dom, w którym mieszkały, również okazał się bardzo wysoki. Drogi również był węgiel, świece, żywność i wszelkie inne niezbędne artykuły.

Verity długo szukała jakiegoś szlachetnie urodzonego pracodawcy, zapewniając przy tym matkę, że na służbę wybiera się tylko czasowo do chwili powrotu do Anglii stryja. Tak naprawdę nie pokładała większej nadziei w bogatym stryju, który za wiele miał wspólnego z nim i jego rodzi się swego najmłodszego syna, kiedy ten i żonę kobiety, którą on mu wybrał, a ożenił się z matką Verity, córką dżentelmena niezbyt zamożnego i nie piastującego żadnych stanowisk.

Verity zrozumiała, że całkowita odpowiedzialność za los matki i siostry spadła na jej barki. Kiedy więc nie udało się jej znaleźć zajęcia w charakterze guwernantki, damy do towarzystwa, sprzedawczyni w sklepie, szwaczki ani pokojówki, przyjęła nieprawdopodobną

wręcz propozycję angażu do opery w charakterze tancerki. Bardzo jej to odpowiadało, gdyż zawsze uwielbiała taniec, zarówno w sali balowej, jak i w zaciszu swego pokoju.

Występowanie publiczne na scenie, czy to w roli aktorki, śpiewaczki czy tancerki, nie przysłało damie. Verity, podejmując tę pracę, zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że w powszechnym pojęciu tancerki i aktorki są zwykłymi ladacznicami.

Ale czy miała jakikolwiek wybór?

Zaczęła zatem prowadzić podwójne życie; sekretne życie. W ciągu dnia, gdy nie musiała iść na próbę, była Verity Ewing, zubożałą córką szlachetnie urodzonego pastora, bratanicą wpływowego generała, sir Hectora Ewinga. Wieczorami przekształcała się w Blanche Heyward, tancerkę w operze, na którą modni dżentelmeni i dandysi rzucali zalotne, pożądliwe spojrzenia.

Verity prowadziła bardzo ryzykowną grę. W każdej chwili ktoś mógł ją rozpoznać, choć jej znajomi z prowincji nie mieli zwyczaju zatrzymywania się w Londynie w poszukiwaniu rozrywki. Co ważniejsze, gdyby sprawa się wy dała, uniemożliwiłoby to jej wejście do wyższych sfer, gdyby w przyszłości generał zdecydował się jednak pomóc rodzinie swego zmarłego brata. Chwilowo jednak dziewczyna nie myślała o tak odległej przyszłości.

Miała ważniejsze sprawy na głowie.

Jako tancerka zarabiała za mało pieniędzy, by starczyło na życie dla jej rodziny.

Szczelniej otuliła się kołdrą i wsunęła zziębnięte dłonie między uda.

- Verity? - dobiegł ją zaspany głos. Dziewczyna zsunęła kołdrę z twarzy.

- Już wróciłam, kochanie - powiedziała cicho.

- Chyba zasnęłam - wyjaśniła Chastity. - Zawsze niepokoję się, gdy nie ma cię w domu. Nie lubię, kiedy samotnie wychodzisz wieczorami do miasta.

- Gdybym nie wychodziła, kto opowiadałby ci o wspaniałych przyjęciach i przedstawieniach teatralnych, na których bywam? Rano opowiem ci o operze, a zwłaszcza o ludziach, którzy do niej przychodzą. A teraz już śpij.

- Verity - znów odezwała się Chastity - nie myśl, że nie jestem ci wdzięczna za to, co robisz, że nie wiem, jakie dla mnie ponosisz ofiary. Nadejdzie jeszcze dzień, w którym ci to wszystko wynagrodzę. Przysięgam.

Verity zamrugała oczyma, powstrzymując łzy.

- Wynagrodzisz mnie w dwójnasób... dziesięciokrotnie... jeśli wiosną zatańczysz pośród pierwiosneków i żonkili, kiedy policzki zabarwią ci różane rumieńce, a oczy nabiorą blasku. A teraz śpij.

- Dobranoc.

Chastity szeroko ziewnęła i po chwili dał się słyszeć jej równy oddech.

Istniał tylko jeden sposób, by tancerka mogła pomnożyć swoje zarobki. Cóż, wręcz spodziewano się tego po niej. Verity naciągnęła na głowę kołdrę, próbując nie rozważać tej myśli dalej. Ale problem dręczył ją już od tygodnia. I dlatego, jakby sama przygotowując się do wykonania kolejnego kroku, powiedziała matce: „Zaledwie dzisiejszego wieczoru lady Coleman oświadczyła mi, że jest ze mnie bardzo zadowolona i zamierza znacznie podnieść mi pensję”.

Każdego wieczoru, po skończonym przedstawieniu, w poczekalni dla artystów otaczał ją tłumek wielbicieli. Dwóch dżentelmenów zdążyło nawet złożyć jej niedwuznaczne propozycje. Jeden z nich wymienił kwotę, od której Verity zakręciło się w głowie. Nieustannie wmawiała sobie, że oferty te wcale jej nie kuszą. Nie była to jednak kwestia pokusy. Była to podjęta na zimno decyzja.

Jedynym powodem, dla którego gotowa była uczynić taką rzecz, było bezpieczeństwo matki i siostry. Musiała mieć o wiele więcej pieniędzy, by Chess mogła kontynuować leczenie.

Tak ujmując sprawę, nie musiała nawet podejmować decyzji.

Przypomniała sobie dżentelmena, który tego wieczoru stojąc w drzwiach poczekalni, lustrował ją bezczelnie przez monokl, żeby po chwili przyłączyć się do tłumku otaczającego Hannah Dove. Jego zachowanie nie wskazywało, by zainteresował się Verity - czy raczej Blanche - a jednak dziewczyna odnosiła nieodparte wrażenie, że mężczyzna przez cały czas przebywania i w poczekalni ukradkiem bacznie ją obserwował.

Jak wyjaśniła jej jedna z tancerek, był to wicehrabia Folingsby, znany hulaka. Verity domyśliłaby się tego i bez koleżanki. Niezależnie od tego, że był niebywale przystojny - wysoki, o nieskazitelnej sylwetce, ciemnej cerze, o oczach bystrych i sennyh jednocześnie - biła od niego pewność siebie i arogancja wskazująca, iż mężczyzna ten przyzwyczajony jest osiągać to, co zamierzył. Poza tym było w nim coś niezwykle zmysłowego. Tak, niewątpliwie był hulaką.

A jednak przez chwilę bardzo ją kusił. Gdyby do niej podszedł, gdyby złożył stosowną propozycję...

Dzięki Bogu, że tego nie uczynił.

Niedługo, bardzo niedługo, zmuszona będzie przyjąć czyja propozycję. Tak! Należało nazwać rzecz po imieniu. Będzie musiała zostać czyjąś utrzymanką. Nie, czyjąś nałożnicą!

Mimo że z całych sił zaciskała powieki, pokój wokół niej wirował.

- To dla Chastity - szepnęła zdeterminowana. Po to, by ocalić jej zdrowie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dwa dni później Julian ponownie odwiedził poczekalnię dla artystów w operze. Blanche Heyward otaczało kilku mężczyzn. Wokół Hannah Dove kłębił się tłum wielbicieli. Jego lordowska mość dołączył do towarzystwa i rozpoczął uprzejmą rozmowę. Nie chciał robić nic ostantacyjnie. Dopiero po kilkunastu minutach zbliżył się do Blanche i złożył niski ukłon.

- Twój uniżony sługa, panno Heyward. Czy wolno mi wyrazić swój zachwyt nad pani dzisiejszym występem?

- Dziękuję, panie.

Głos miała niski, dźwięczny, uwodzicielski. Julian ani przez chwilę nie wierzył w jej cnotę.

- Folingsby, ja też przed chwilą komplementowałem pannę Heyward za jej talent, wdzięk i urodę - odezwał się Netherford. - Do licha, na balu przyćmiłaby swym blaskiem każdą niewiastę. Wszyscy dżentelmeni chcieliby tańczyć tylko z nią.

Ze strony pozostałych dżentelmenów posypały się kolejne komplementy.

- Boże wielki! - mruknął Julian. - Nie jestem pewien, czy panna Heyward życzyłaby sobie... takiej sławy.

- Albo popularności - dodała z przelotnym uśmiechem dziewczyna.

- Do licha - ciągnął Netherford. - Wszyscy chcieliby oglądać panią w walcu. W takim przypadku każdy dżentelmen stałby jak słup soli, zapatrzony w panią, i nie byłoby nikogo, kto zechciałby tańczyć z innymi damami.

Jego słowa skwitował wybuch śmiechu pozostałych galantów.

Julian przyłożył do oka monokl i popatrzył na tancerkę. W jej oczach dostrzegł wyraźne szyderstwo.

- Dziękuję, panie - powiedziała Blanche. - Zgrabny z pana pochlebca. Panowie, jestem już zmęczona. Mam za sobą długi i ciężki wieczór.

Powiedziawszy to, bez skrępów odprawiła towarzystwo. Oni gięli się przed nią w kornych ukłonach i życzyli dobrej nocy. Później trzech z nich opuściło poczekalnię, a jeden dołączył do adoratorów Hannah Dove. Na placu boju pozostał tylko Julian.

Verity popatrzyła nań wyzywająco.

- Panie?

- Czasami miły, spokojny posiłek potrafi ukoić zmęczenie równie dobrze jak sen. Czy

pozwole pani zaprosić się na kolację w moim towarzystwie?

Otworzyła usta, by odmówić. Poznał to po wyrazie jej twarzy. Chwilę wahała się, po czym jej twarz rozjaśnił uśmiech. Uniosła brwi.

- Na kolację, panie?

- Trzymam zarezerwowany gabinecik w pobliskiej gospodzie - wyjaśnił. - Ale równie dobrze mogę zjeść wieczerzę samotnie.

Najwyraźniej niewiele go obchodziło, czy tancerka przyjmie jego zaproszenie, czy nie.

Verity spuściła wzrok i popatrzyła na swoje ręce. Wicehrabia pomyślał, że Blanche zamierza dać odpowiedź odmowną. A jednocześnie widać było, że Julian ją intryguje. Lub, co wydawało się bardziej prawdopodobne, dziewczyna była w równym stopniu jak on biegła w przesyłaniu sygnałów, jakie chciała przesłać. W tym przypadku próbowała zasygnalizować niechęć i obojętność, a jednocześnie ciekawość. Postanowił zatem przejąć inicjatywę w swoje ręce.

- Panno Heyward. - Pochylił się nieznacznie w jej stronę i zniżył głos. - Zapraszam panią tylko na kolację, nie do łóżka.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Po chwili twarz znów rozjaśnił jej lekki uśmiech.

- Dziękuję, panie. Rzeczywiście jestem głodna, lecz musisz chwilę poczekać. Pójdę po płaszcz.

Julian lekkim skinieniem głowy wyraził zgodę i dziewczyna wstała. Teraz, z bliska, zaskoczył go jej wzrost. Był wysokim mężczyzną, któremu większość kobiet nie sięgała nawet do ramienia. Blanche była niższa od niego o niecałe pół głowy.

Cóż, pomyślał z zadowoleniem. Mam za sobą pierwsze starcie, z którego wyszedłem zwycięsko. Przyjęła zaproszenie tylko na kolację, to prawda. Jeśli nie zamienię tego drobnego sukcesu w tydzień rozkoszy w Norfolkshire, zasługuję jedynie na los, jaki czeka mnie w Conway pod postacią lady Sarah Plunkett o mysiej twarzy.

Ale nie sądził, że przegra tę grę.

Co więcej, nie wierzył, by sama panna Blanche Heyward do tego dopuściła.

Była to przestronna, kwadratowa izba o drewnianym stropie i ogromnym kominku, w którym rozkosznie trzeszczały płonące głownie. Pośrodku pokoju stał stół nakryty dla dwóch osób. Na śnieżnobiałym, wykrochmalonym obrusie lśniła wytwarzana zastawa ze srebra, porcelany i kryształów. W cynowym lichtarzu płonęły dwie wysokie świece.

Wicehrabia Folingsby musiał być zatem pewien, że przyjmę jego zaproszenie, pomyślała Verity. Bez słowa pomógł jej zdjąć płaszcz. Nie patrząc na gospodarza, przeszła

przez izbę, stanęła przy kominku i wyciągnęła dłonie do ognia. Nigdy jeszcze w życiu nie była tak zdenerwowana, nawet podczas liczenia pieniędzy za swój pierwszy występ na scenie. W każdym razie tamto zdenerwowanie było zupełnie inne.

- Bardzo chłodny wieczór - przerwał milczenie Julian.

- Zaiste.

Nie miała wielu okazji, by się o tym przekonać, gdyż niewielką odległość dzielącą teatr od gospody przebyli okazałym, prywatnym powozem młodego dandysa. Przez całą drogę milczeli.

Nie wierzyła, że została zaproszona wyłącznie na kolację. Ale wciąż nie wiedziała, jaką ma dać odpowiedź, kiedy już padnie nieuchronne pytanie. Być może w świecie ladacznic było rzeczą zwyczajną, iż za przyjęcie zaproszenia takiego jak to płaci się w oczywisty sposób.

Czy to możliwe, by zanim ta noc minie, ona wykona ostateczny ruch? Co będę wtedy czuła? - pomyślała nieoczekiwanie. Jak będę czuć się rano?

- W zielonym jest pani do twarzy - odezwał się Folingsby. Verity poczuła złość do samej siebie za to, że gwałtownie drgnęła, kiedy skonstatowała, iż mężczyzna stoi tuż obok niej. - Niewiele kobiet potrafi ocenić, w jakim kolorze jest im najlepiej.

Verity miała na sobie ulubioną suknię z ciemnozielonego jedwabiu, choć jej krój był już dawno niemodny. Jednak podwyższona talia i proste rękawy ubioru nadawały mu rodzaj ponadczasowej elegancji, która nie starzeje się tak szybko jak wszelkie nowinki w świecie mody.

- Dziękuję - odparła z promiennym uśmiechem Verity.

- Wyobrażam sobie - ciągnął Julian - że jakiś artysta musiał kiedyś wyjątkowo uważnie wymieszać farby i przy użyciu najdelikatniejszego pędzla udało mu się stworzyć barwę pani oczu. Mają unikalny kolor.

Verity z lekkim uśmiechem popatrzyła na tańczące w kominku płomienie. Mężczyźni lubili hojnie szafować komplementami, mówiąc o jej oczach, lecz jeszcze żaden nie wyraził tego w taki sposób jak wicehrabia.

- Mój panie, w moich żyłach płynie domieszka irlandzkiej krwi - wyjaśniła.

- A, Zielona Wyspa - mruknął. - Kraina rudowłosych, obdarzonych ognistym temperamentem ślicznotek. Panno Heyward, czy pani również posiada ognisty temperament?

- Mam też w żyłach sporo krwi angielskiej - odparła.

- Och, ci prozaiczni, pełni flegmy Anglicy! - Westchnął. - Rozczarowała mnie pani. Przejdźmy lepiej do stołu.

- A zatem, mój panie, lubisz ogniste kobiety? - zapytała, zajmując miejsce naprzeciwko niego.

- To zależy wyłącznie od kobiety. Jeśli czerpię przyjemność z okiełznania jej, to tak.

Sięgnął po stojącą na stole butelkę z winem, odkorkował ją i rozlał trunek do kieliszków.

Gdy zajęty był tą czynnością, Verity, po raz pierwszy od opuszczenia teatru, mogła mu się lepiej przyjrzeć. Był aż zatrważająco przystojny, lecz zupełnie nie umiała wytłumaczyć sobie, dlaczego ta uroda mogła budzić lęk. Może to jego pewność siebie i zarozumiałość, bardziej niż wygląd, sprawiały, iż pragnęła jedynie cofnąć czas, wrócić do teatru i tam odrzucić jego zaproszenie na kolację. Odnosiła wrażenie, że są całkowicie sami, choć nieustannie pojawiało się dwóch służących donoszących w milczeniu potrawy. A może sprawiał to jego pełen zmysłowości urok i pewność, że jej pożąda?

Julian wznosił kieliszek.

- Za naszą znajomość - powiedział, spoglądając prosto w jej oczy lśniące niczym szmaragdy w migotliwym blasku świateł.

Verity uśmiechnęła się i delikatnie trąciła kieliszkiem jego kieliszek. Z radością stwierdziła, że całkowicie nad sobą panuje i nie trzęsą się jej ręce. Niemniej odnosiła wrażenie, iż podjęła już nieodwołalną decyzję, że ostatecznie zawarła pakt.

- Może coś zjemy? - zasugerował Julian, kiedy służby odeszli, zamykając za sobą cicho drzwi.

Wskazał półmiski z zimnym mięsivem, parujące warzywa oraz kryształową paterę z owocami.

Verity uświadomiła sobie nieoczekiwanie, że choć naprawdę jest okropnie głodna, nie wie, czy zdoła cokolwiek przełknąć. Zadowolona się zatem skromną porcją.

- Panno Heyward, czy zawsze jest pani tak rozmowna? - zapytał wicehrabia, obserwując, jak dziewczyna smaruje bułeczkę masłem.

Verity zastygła w pół gestu i niechętnie popatrzyła na wicehrabiego. Jak wszystkie kobiety z jej klasy, potrafiła prowadzić układną konwersację. Teraz jednak nie miała najmniejszego pojęcia, jaki temat poruszyć. Nigdy dotychczas nie jadła kolacji sam na sam z mężczyzną ani też nie przebywała z nim dłużej niż pół godziny bez osoby towarzyszącej.

- O czym chcesz, bym mówiła, mój panie? - spytała.

Julian dłuższą chwilę przyglądał się jej z wyraźnym rozbawieniem.

- O kapeluszach? Klejnotach? O ostatniej wyprawie do sklepów?

A zatem nie był zbyt wysokiego mniemania o inteligencji kobiet. A może tylko ją tak traktował?

- Pytam, o czym ty chcesz rozmawiać, mój panie.

Folingsby sprawiał wrażenie jeszcze bardziej rozbawionego.

- O pani - odparł bez wahania. - Niech mi pani opowie coś o sobie. Proszę zacząć od swego akcentu. Nie potrafię wyczuć, skąd pani pochodzi.

Verity zawsze z łatwością przejmowała akcent, z jakim mówili ludzie, z którymi pracowała; poza tym umiała maskować fakt, że pochodzi z dobrej rodziny.

- Bardzo łatwo chwytam akcent - wyjaśniła. - A mieszkałam w wielu miejscach. Podejrzewam więc, że w mojej mowie są naleciałości wszystkich tych miejsc.

- A na dodatek, by sprawę jeszcze bardziej pogmatwać, ktoś udzielał pani lekcji dykcji.

- Naturalnie - odparła z czarującym uśmiechem. - Nawet tancerce nie wolno przy każdym słowie znęcać się nad językiem angielskim, mój panie. Jeśli ktoś myśli poważniej o karierze, musi dbać o swój język i wymowę.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Trzymająca widelec dłoń znieruchomiała w połowie drogi do ust. Verity poczuła, jak na twarz wypełzają jej rumieńce. Jaką, jego zdaniem, zamierza zrobić karierę?

- Rozumiem - odparł w końcu cichym, aksamitnym głosem i wsunął do ust kawałek mięsa. - Ale o tych właśnie miejscach chcę posłuchać. Proszę powiedzieć, gdzie pani się urodziła. Proszę opowiedzieć mi o swej rodzinie. Przecież nie będziemy jeść kolacji w kompletnym milczeniu.

Odniosła wrażenie, że całe jej życie to jedno wielkie pasmo łgarstw. W każdym następnym środowisku, które poznawała, skrzętnie zacierała prawdę o poprzednim. Ostatecznie nawarstwiła się tych kłamstw cała masa. Osobiście знаła tylko dwa miejsca - wioskę w Somersetshire, gdzie żyła dwadzieścia dwa lata, i Londyn, w którym przebywała od dwóch miesięcy. Ale rozwodziła się też o Irlandii, przytaczając opowieści zasłyszane w dzieciństwie od babci ze strony matki, oraz o mieście York, w którym przez jakiś czas mieszkał ze swoim stryjem pewien jej znajomy. Opowiedziała też o kilku innych miejscach, które znała wyłącznie z lektur.

Miała tylko gorącą nadzieję, że wicehrabia nie zna miejsc, które mu opisywała. Wymyśliła całą rodzinną legendę - jej ojciec był kowalem, matka, kobieta o gołęmbim sercu, zmarła przed pięciu laty, miała trzech braci i trzy siostry, wszyscy znacznie od niej młodszy.

- I przybyła pani do Londynu w poszukiwaniu fortuny? - przerwał jej opowieść Julian.

- Nigdzie indziej pani nie tańczyła?

Verity chwilę się wahała. Nie chciała, by myślał o niej jak o niedoświadczonej dziewczynie, którą łatwo manipulować.

- Tańczę od kilku lat, mój panie. - Z uśmiechem popatrzyła mu prosto w oczy i sięgnęła do patery po gruszkę. - Ale jak wiesz, panie, wszystkie drogi w końcu prowadzą do Londynu.

Zaskoczył ją wyraz nie skrywanego pożądania, jaki pojawił się w jego oczach, gdy śledził ruchy jej ręki. Szybko jednak opuścił powieki i zamaskował swe prawdziwe uczucia kpiącym uśmiechem.

- Naturalnie - stwierdził cicho. - A my, którzy większość czasu spędzamy właśnie tutaj, jesteśmy zachwyceni, mogąc podziwiać różnorodne talenty osób takich jak pani, talenty, które nabyłyście w innych stronach kraju.

Verity bez reszty skupiała uwagę na obieraniu gruszki. Owoc był bardzo soczysty i niebawem dłonie miała już lepkie od soku. Serce biło jej jak oszalałe. Nieoczekiwanie odniosła wrażenie, iż brodzi w głębokiej wodzie. Poczowała, że między nią a mężczyzną narasta napięcie. Oblizwała usta, lecz nie potrafiła znaleźć żadnej stosownej riposty na jego słowa.

Nieoczekiwanie dotarł do niej jego głos.

- Panno Heyward, skoro już pani obrała tę gruszkę, należy ją zjeść. Nie można przecież marnować tak dorodnego owocu.

Podniosła połówkę gruszki do ust i wbiła w nią zęby. Po brodzie popłynął jej obficie sok. Cokolwiek speszona sięgnęła po serwetkę, świadoma tego, że Folingsby nie spuszcza z niej wzroku. Zanim jednak zdążyła wytrzeć usta, on wyciągnął ponad stołem ramię i długim, smukłym palcem starł jej z brody dużą kroplę gęstego soku, która miała właśnie skapnąć na suknię. Zaskoczona Verity uniosła głowę i ujrzała, że Julian zlizuje z palca sok, nie spuszczając przy tym z niej uważnego spojrzenia.

Poczowała nieznośne gorąco w całym ciele. Policzki jej się zarumieniły.

- Bardzo słodki - mruknął wicehrabia.

Verity zerwała się z krzesła. Po chwili jednak żałowała już tego gestu. Nogi prawie się pod nią ugięły. Podeszła niepewnie do kominka i wyciągnęła ręce, jakby chciała je ogrzać, jakkolwiek to ogień mógł czerpać od niej żar.

Kilkakrotnie głęboko odetchnęła. W izbie panowała martwa cisza. Kątem oka Verity spostrzegła, że Julian również podchodzi do kominka i staje po jego drugiej stronie. Oparł ręce na wysokim gzymsie i bacznie ją obserwował. Nadchodzi czas, pomyślała. Za chwilę padnie to nieuniknione pytanie, a ona będzie musiała na nie odpowiedzieć. A wciąż nie знаła

odpowiedzi... a może znała? Być może tylko oszukiwała samą siebie, że wciąż jeszcze ma wybór. Decyzję wszak podjęła tam, w poczekalni dla artystów... nie, jeszcze wcześniej. Niewątpliwie wicehrabia zamówił już w gospodzie sypialnię... podobnie jak ten gabinecik. A zatem za kilka minut...

Co będzie czuła? Nie wiedziała nawet, czego ma się spodziewać.

- Panno Heyward, jakie ma pani plany na Boże Narodzenie? - dobiegł ją głos Juliana.

Zaskoczona Verity gwałtownie drgnęła.

Odwróciła głowę i popatrzyła w stronę pytającego. Boże Narodzenie? Miało nadejść za półtora tygodnia. Oczywiście, spędzi je z rodziną. Będą to ich pierwsze święta z dala od domu, pierwsze Boże Narodzenie bez przyjaciół i sąsiadów, których znały całe życie. Ale miały przynajmniej siebie; i wciąż były razem. Postanowiły, że w te święta pozwolą sobie na większą ekstrawagancję; kupią gęś i obdarzą się wzajemnie niedrogimi prezentami. Święta Bożego Narodzenia zawsze były dla Verity najpiękniejszym okresem roku. W te dni z jakichś niejasnych względów nabierała nadziei i przypominała sobie, co jest dla niej w życiu najważniejsze - rodzina, miłość, bezinteresowność.

Bezinteresowność.

- Czy ma pani jakieś plany? - zapytał ponownie Julian.

Nie mogła przecież skłamać, że wybiera się do swej dużej rodziny w kuźni w Somersetshire. Potrząsnęła więc tylko odmownie głową.

- Ja spędzę spokojny tydzień w Norfolkshire w towarzystwie mego przyjaciela i jego... hm... damy - wyjaśnił. - Może zechciałaby pani mi towarzyszyć?

Spokojny tydzień. Przyjaciel i jego dama. Doskonale rozumiała, co ma na myśli, doskonale wiedziała, gdzie i po co ją zaprasza. Jeśli teraz się zgodzę, pomyślała Verity, kości zostaną rzucone. Nieodwołalnie wkroczy w świat, z którego nie będzie już powrotu. Kiedy raz tak nisko upadnie, nigdy już nie odzyska cnoty i honoru.

A jeśli się zgodzi?

Opuści dom na całe Boże Narodzenie. Spędzi je bez matki Chastity. Cały długi tydzień. Czy cokolwiek było warte aż takiej ofiary, nie mówiąc już o ofierze, jaką złoży z samej siebie?

On jakby czytał w jej myślach.

- Daję pięćset funtów, panno Heyward - powiedział cicho. - Za jeden tydzień.

Pięćset funtów? Verity z wrażenia aż zaschło w ustach. Była to kwota kolosalna. Czy wiedział, ile to jest pięćset funtów dla kogoś takiego jak ona? Oczywiście, że wiedział. Kusił ją.

Tydzień stosownych usług. Siedem nocy. Siedem; podczas gdy nawet myśl o jednej była nie do zniesienia. Kiedy jednak już będzie się miało za sobą pierwszą, reszta straci znaczenie. Zdrowie Chastity wymagało kolejnej wizyty lekarza i dalszego leczenia. Jak Verity czułaby się, gdyby jej siostra umarła tylko dlatego, że zabrakło pieniędzy? Zwłaszcza że teraz nadarzała się jej znakomita okazja zdobycia gotówki. Co takiego powiedziała o Bożym Narodzeniu?

Bezinteresowność.

Nie odrywając wzroku od ognia, uśmiechnęła się łagodnie.

- Byłoby miło z twojej strony, mój panie, gdybyś zapłacił mi z góry.

Ze zdumieniem słuchała własnych słów.

Kiedy mężczyzna nie od razu odpowiedział, odwróciła w jego stronę głowę. Nadal stał oparty łokciem o gzyms kominka, brodę i usta wspierał na zaciśniętej pięści. W oczach wciąż malował się wyraz rozbawienia.

- Musimy pójść na kompromis - odezwał się w końcu. - Połowa teraz, połowa po powrocie.

Verity skinęła głową. Dwieście pięćdziesiąt funtów przed wyjazdem z Londynu. Kiedy jednak przyjmie już zapłatę, pułapka się zatrzaśnie. Nie będzie mogła wykręcić się od wypełnienia swojej części układu. Próbowała przełknąć ślinę, ale język i gardło miała suche jak wiór.

- Cudownie - powiedział z ożywieniem Julian. - Chodźmy, zrobiło się późno. Odwiozę panią do domu.

A zatem ta noc została jej jeszcze darowana. Ogarnęła ją z tego powodu bezbrzeżna ulga. Jakaś jej część doznała jednak rozczarowania. W ciągu godziny gdyby, jak oczekiwała, Julian zarezerwował w gospodzie pokój, mogłaby mieć już najgorsze za sobą. Pierwszy raz był najgorszy. Wyobrażała sobie, zapewne naiwnie, że kiedy już stałaby się kobietą upadłą, kiedy poznałaby, jak to smakuje, wszystko inne poszłoby łatwo. A tak musiała czekać, aż wyjadą do Norfolkshire.

Gdy wicehrabia otulił płaszczem jej ramiona, do Verity dotarł sens jego ostatnich słów.

- Nie, mój panie, dziękuję. Sama pojedę do domu. Gdybyś tylko był tak uprzejmy i wezwał dorożkę.

Julian odwrócił ją przodem do siebie i zaczął zapinać guziki płaszcza. Następnie popatrzył jej uważnie w oczy.

- Gramy tę wykrętną grę do końca, panno Heyward? - zapytał. - A może w domu

czeka ktoś, kto raczej nie powinien mnie widzieć?

Implikacja tych słów była aż nazbyt oczywista. Ale naturalnie to on miał rację, choć nie w tym sensie, w jakim myślał. Verity oddała mu uśmiech.

- Obiecałam ci tydzień, mój panie. O ile dobrze zrozumiałam, tydzień ten nie zaczyna się dzisiejszej nocy?

- To prawda - odparł. - A zatem ja zamówię dorożkę, a pani zachowa swe sekrety. Wierzę głęboko, że to Boże Narodzenie będzie... dużo bardziej interesujące niż zwykle.

- Wierzę głęboko, że się nie mylisz, panie - odparła Verity najzimniejszym tonem, na jaki było ją stać, i ruszyła do drzwi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy wreszcie szarym, posępnym popołudniem pojawił się w oddali domek myśliwski Bertranda Hollandera, Julian był już zmęczony, zziębnięty i poirytowany.

Drogę z Londynu odbył konno, mimo że jego doskonale wyekwipowany do dalekich podróży i wygodny powóz wiozł tylko jednego pasażera. Z rana sądził, że to wyśmienity pomysł - z pewnością zrobi wielkie wrażenie na dziewczynie, jadąc w siodle obok okna jej powozu. Później, po obiedzie, zamierzał dołączyć do niej w ciepłym, wygodnym wnętrzu pojazdu. Ale podczas południowego postoju, kiedy zatrzymali się na obiad i zmieniali konie, panna Blanche Heyward bardzo go rozgniewała. Nie, nie chodziło o jakąś drobnostkę czy zwykły kaprys. Naprawdę srodze go zirytowała.

Poszło o głupstwo, o zwykłe świecidełko, o nędzną garść, złota.

Prezent ten zamierzał wręczyć jej na Boże Narodzenie. Nie musiał wprawdzie dawać jej żadnych podarków, gdyż została bardziej niż hojnie wynagrodzona za swoje usługi, lecz święta; zawsze stanowiły dlań porę rozdawania podarunków, a tego roku ominąć miało go Conway i pełne ciepła uroczystości w gronie rodziny i przyjaciół. Nabył podarunek dla Blanche. Zakupowi temu poświęcił dużo więcej czasu niż zazwyczaj, gdy kupował prezenty swoim kochankom.

Kierowany impulsem, postanowił wręczyć prezent w przytulnym saloniku w oberży, gdzie zatrzymali się na obiad, a nie, jak początkowo zamierzał, w pierwszy dzień świąt. Blanche popatrzyła tylko na spoczywające na jego dłoni wytworne pudełeczko i nie zamierzała wcale go brać.

- Co to jest? - spytała.

- Proszę zobaczyć. To prezent świąteczny.

- Nie potrzebuję żadnych prezentów - odparła, spoglądając mu prosto w oczy. - Za to, co mam ci dać, zapłaciłeś mi już hojnie, mój panie.

Julian poczuł nieprzyjemny skurecz w brzuchu, ogarnął go gniew. Czyżby kazała mu czekać jak durniowi z wyciągniętą ręką do czasu, aż ostygnie obiad? Blanche wzięła w końcu pudełko i powoli je otworzyła. Obserwował ją z nie skrywanym niepokojem. Może popełnił błąd, nie decydując się na brylanty, rubiny lub szmaragdy?

Dziewczyna długo spoglądała na zawartość pudełeczka. Milczała, nie próbowała nawet wziąć podarunku w palce.

- Czy to Gwiazda Betlejemska? - spytała po długiej chwili.

Tak, była to gwiazda, złota gwiazda na złotym łańcuszku. Nawet nie przyszło mu do głowy, że może być to Gwiazda Betlejemska. Domysł Blanche z całą pewnością był słuszny.

- Tak - odparł pewnym głosem. - Czy się pani podoba?

- Ona należy do niebios - odrzekła po długiej chwili namysłu, spoglądając nieruchomym wzrokiem na wisiołek. - Jest symbolem nadziei. Znakiem dla tych, którzy poszukują sensu życia i mądrości.

Julianowi wręcz odebrało mowę.

Dziewczyna popatrzyła mu prosto w twarz cudownymi, szmaragdowymi oczyma.

- Takich rzeczy nie powinno kupować się za pieniądze, mój panie - oświadczyła. - Ktoś taki jak pan nie powinien dawać podobnych prezentów komuś takiemu jak ja.

Posłał jej spojrzenie pełne źle skrywanej furii. Takiemu jak on? Co, do diabła, miała na myśli?

- Czy mam przez to rozumieć, że prezent się pani nie podoba, panno Heyward? - powiedział, nadając swemu głosowi ton znudzenia. - Powinienem był kupić bransoletę wysadzaną brylantami.

Dziewczyna uporczywie spoglądała mu w oczy.

- Przepraszam - odparła, wprawiając go w kompletne osłupienie. - Sprawiałam panu przykrość. Gwiazda jest śliczna, mój panie, i świadczy o tym, że ma pan świetny gust. Dziękuję.

Zamknęła pudełeczko i schowała je do torebki.

Obiad jedli w milczeniu. Julian odnosił wrażenie, że przeżuwa pozbawione smaku siano.

Kiedy ruszali w dalszą drogę, ponownie wskoczył na siodło, zostawiając dziewczynę samą w powozie, na co sobie stokrotnie zasłużyła. Cały czas próbował pobudzać w sobie gniew do Blanche. Co, do licha, miała na myśli, mówiąc: „Ktoś taki jak pan nie powinien dawać podobnych prezentów”? Jak śmiała? Przecież nie popełnił żadnego nietaktu, jeśli nawet owa złota błyskotka rzeczywiście była Gwiazdą Betlejemską. Gwiazda jest symbolem nadziei, oświadczyła, znakiem tych, którzy poszukują mądrości i sensu życia.

- Duby smalone!

Czy naprawdę trzej mędrcy z opowieści o Chrystusie - jeśli naprawdę istnieli, jeśli naprawdę by li mędrkami i jeśli naprawdę było ich trzech - wioząc skarby, podążali przez pustynię na swych wielbłądach w pełnym nadziei pościgu za mądrością i sensem życia? Bardziej prawdopodobne, że byli czmychającymi oblubieńcami, których chciano zaślubić z biblijnymi odpowiednikami panny Plunkett. Albo też mieli nadzieję znaleźć coś, co ukoi ich

trochę otępiały już zmysły.

Musieli być nieprzyzwoicie bogaci, skoro podjęli tę wariacką podróż bez obawy, że zostaną bez pieniędzy. I tylko przez czysty przypadek natknęli się na coś, co było wartościowsze od złota i tamtych dwóch innych rzeczy, które ze sobą wieźli. A swoją drogą, co to takiego, do wszystkich diabłów, owo kadzidło i mirra?

Cóż, on nie był mędrce, choć wybrał się w podróż z nędzną garścią złota. Miał nadzieję u celu podróży nasycić swe zmysły. I tylko tego pragnął: paru sympatycznych dni spędzonych w towarzystwie Bertiego i kilku pełnych szaleństwa nocy spędzonych w łóżku z Blanche. Do diabła z mądrością i sensem życia! Wiedział, jak po upływie tego tygodnia potoczą się dalsze jego losy. Poślubi lady Sarah Plunkett i będzie mieć z nią gromadkę dzieci - jak mawia stare porzekadło. I zacnie prowadzić ustatkowane życie.

Nadchodzi śnieżycy, pomyślał, spoglądając na zasnute szarymi chmurami niebo. Czekają nas zatem białe święta. Perspektywa ta, która w innych okolicznościach bardzo by go radowała, teraz budziła w nim wręcz niechęć. W Conway zbierze się cała rodzina, od dzieci po starców, będą urządzać kuligi, bitwy na śnieżki, konkursy na najładniejszego bałwana i zawody łyżwiarskie.

Nieoczekiwanie ogarnęła go nostalgia za bliskimi.

Gdy dotarli do celu, okazało się, że domek myśliwski Bertiego bardziej przypomina okazałą rezydencję niż skromny pawilon, jakiego spodziewał się Julian. Okna rozświetlał zapraszająco blask świec, a z kominów biły w niebo pióropusze dymu. Julian, któremu od konnej jazdy kompletnie zdrętwiały mięśnie, krzywiąc się z bólu, niezgrabnie zsunął się z siodła. Niedbałym ruchem ręki odprawił służącego, który wyszedł im na spotkanie, i osobiście otworzył drzwi powozu. Wysunął stopnie, wyciągnął rękę i pomógł wysiąść pasażerce.

Gdy ujął zakrytą rękawiczką dłoń Blanche, naszała go kolejna refleksja, że dziewczyna wcale nie przypomina rajskiego ptaka, jak to sobie wyobrażał, zapraszając ją na wieś. Ubrana była w skromną, szarą, wełnianą suknię i długi, bury płaszcz. Na dłoniach miała czarne rękawiczki i tej samej barwy wysokie buciki na stopach. Jej włosy, owe olśniewające tycjanowskie pukle, zostały bezlitośnie zaczesane do tyłu i zakryte skromnym, praktycznym damskim czepkiem. Twarz nie nosiła śladu kosmetyków, ale i bez nich pałała niezmierną wprost urodą. Nie miała w sobie nic z ladacznicy.

- Dziękuję, mój panie - powiedziała, spoglądając w stronę domu.

- Mam nadzieję, że pod kocami było pani wystarczająco ciepło - odrzekł Julian.

- Oczywiście - odparła z uśmiechem.

Julian odwrócił się w stronę Bertiego. Jego przyjaciel stał w otwartych drzwiach, zacierał ręce i serdecznie się uśmiechał. Julian poczuł przebiegający mu po plecach rozkoszny dreszcz. Nadchodzącej nocy oczekiwał z ogromną niecierpliwością. W pannie Blanche Heyward, tancerce z opery i znawczynie Gwiazdy Betlejemskiej, było coś niebywale intrygującego.

Verity nigdy jeszcze w życiu nie była tak skrępowana jak podczas pierwszej godziny pobytu w domku myśliwskim Bertranda Hollandera. Domostwo to w niczym nie przypomina pawilonu myśliwskiego, myślała, rozglądając się po wielkim, wygodnym i pięknie urządzonym domu, którego właściciel używał jedynie w sezonie łowieckim. No i wykorzystywał do potajemnych schadzek z kochankami.

To właśnie stanowiło główną przyczynę zakłopotania Verity. Pan Hollander okazał się niezwykle miłym dżentelmenem. Miał przystojną, sympatyczną twarz i, najwyraźniej, przykładał wielką wagę do ubioru. Gospodarz serdecznie powitał gości, zapewnił, iż w jego domu znajdują wszelkie wygody, po czym poprosił, by nie robili sobie żadnych ceregieli.

Uklonił się Verity z wielką galanterią, ujął jej dłoń, podniósł ją do ust, po czym zaprowadził dziewczynę w głąb domu. Idąc, usilnie prosił, by bez skrępowania zwracała się do niego z wszelkimi prośbami.

Całym jednak zachowaniem dawał wyraźnie do zrozumienia, że Verity należy do całkiem innej sfery. Na wstępie otaksował ją wzrokiem od stóp do głów, po czym przesłał wicehrabiemu Folingsby znaczący uśmiech. Choć nie był to do końca butny, bezczelny uśmieszek i kryło się w nim wiele uznania, to jednak w obecności prawdziwej damy nigdy by sobie na takie zachowanie nie pozwolił. Nie zwróciłby się również do niej po imieniu.

- Blanche, przejdź, proszę, do salonu i ogrzej się przy kominku - rzekł. - Za chwilę przedstawię ci Debbie.

Jego kochanka miała jasnoblonde włosy, była ładna i trochę pulchna. Mówiła z wyraźnym akcentem z Yorkshire. Na powitanie nie wstała wprawdzie z krzesła, na którym siedziała przed kominkiem, lecz przesłała nowo przybyłym wesoły uśmiech.

- Siadaj, Blanche - powiedziała, wskazując na stojące po drugiej stronie kominka krzesło. - Bertie posłał już po herbatę. Julianie, sprawiasz wrażenie przemarzniętego. Przysuń sobie krzesło do ognia, chyba że chcesz wziąć Blanche na kolana.

- Cudownie - odparł Julian i zwrócił się do Bertiego: - Mam nadzieję, że dla mnie herbaty nie zaordynowałaś? Hollander parsknął śmiechem i ruszył w stronę kredensu, na którym stała bateria karafek i szklanek. Wicehrabia przyniósł sobie krzesło, co Verity przyjęła z wyraźną ulgą, lecz gospodarz, gdy wrócił ze szklankami z trunkiem, popatrzył na Debbie i

znacząco uniósł brwi. Dziewczyna westchnęła i wstała z krzesła. Gdy gospodarz zajął na nim miejsce, usiadła mu na kolanach.

Verity stłumiła gniew. Nie zamierzała jednak okazywać oburzenia. Ostatecznie Julian i Bertie przebywali jedynie w towarzystwie swoich kochanek. A ona, z własnego wyboru, była jedną z nich. W biurku w swoim pokoju zostawiła dwieście funtów. Reszta zaliczki poszła na kolejną wizytę u doktora, nowe lekarstwa dla Chastity i inne, drobne bieżące wydatki. Zatem gdyby nawet chciała, na odwrót było za późno.

Musiała pogodzić się z tym, co nieuchronnie miało nadejść. Ale przecież decyzję podjęła w dniu, w którym przyjęła propozycję wicehrabiego Folingsby. Starannie przygotowała się do odegrania swej roli. Mówiła z osobliwym akcentem, który miał ukryć fakt, że jest kobietą dobrze urodzoną. Wymyśliła sobie rodzinę kowala z Somersetshire. Dalej jednak nie zamierzała się posuwać. Nie próbowała udawać głupiej czy ordynarnej, jaką w jej mniemaniu powinna być płatna kochanka.

Zabrała ze sobą swe codzienne ubrania. Włosy upięła tak, jak zwykle upinała je w domu. Zamierzała dotrzymać układu zawartego z Julianem. Musiała pozostać tu przez całe Boże Narodzenie i pozwalać mu na wszystko, czego sobie tylko zażyczy. Wciąż starała się nie myśleć o tym, co ją czeka. Niepokojem napawał ją fakt, że o wielu rzeczach nie ma zielonego pojęcia. Nie śmiała o nie pytać matki, która wprowadziłaby ją we wszelkie arkana tylko w przypadku, gdyby Verity wychodziła za mąż i czekała ją noc poślubna.

Matce i Chastity oświadczyła, że lady Coleman zamierza spędzić święta w wiejskiej posiadłości i domaga się, aby towarzyszyła jej Verity. Wyjaśniła, że za tę usługę ma dostać wyjątkowo wysokie wynagrodzenie, lecz nie wspomniała nic o magicznej sumie pięciuset funtów. Zarówno matka, jak i siostra bardzo żałowały, że Verity nie spędzi z nimi Bożego Narodzenia. Trzy kobiety uroniły przy pożegnaniu kilka łez, lecz pani Ewing i Chastity czerpały pociechę z tego, że Verity, jako najbliższa towarzyszką wielkiej damy, spędzi wesoło i dostatnio święta.

- Czy jest już pani cieplej? - wdarł się w jej rozmyślania głos wicehrabiego Folingsby. Sprowadzona nieoczekiwanie do rzeczywistości Verity zobaczyła, że lokaj wnosi właśnie do salonu tacę z filiżankami z parującą herbatą. Julian pochylił się i ujął w obie dłonie jej rękę. - Chyba jednak powinienem wziąć cię na kolana.

- Myślę, że ciepło ognia i gorąca herbata wystarczą, mój panie - odparła Verity i popatrzyła na uśmiechającego się pogodnie Hollandera. - Nigdy jeszcze nie byłam w tych stronach. Proszę mi coś o nich opowiedzieć. Jakie cuda natury można tu spotkać? Jaka jest historia tej posiadłości?

Nie będę już dłużej milczeć, postanowiła. Przestanę nieustannie zastanawiać się, jakie tematy powinna poruszać w rozmowie tancerka z opery, a zarazem kochanka szlachetnie urodzonego dżentelmena.

- Bertie, kochanie - odezwała się Debbie - na tyłach domu rozciąga się przepiękny park. Opowiedz o nim Blanche. Opowiedz o rozkołysanych drzewach.

Choć Verity niewiele obchodziły rozkołysane drzewa, z pogodnym wyrazem twarzy usiadła wygodnie na krześle i odebrała z rąk służącego filiżankę z herbatą. Wicehrabia Folingsby puścił jej dłoń.

- Dobrze, pomówmy o parku - rzekł. - Potem wrócimy do sprawy gorącej herbaty i ciepła bijącego z kominka. Verity dopiero po chwili zrozumiała, że Julian nawiązuje do jej wcześniejszych słów. Gdy to sobie uświadomiła, zaczęła żałować, że nie usiadła dalej od kominka. Miała wrażenie, iż twarz pali ją żywym ogniem.

Wcale nie czuję nadchodzących świąt, pomyślała z rozpaczą. Jutro przypada Wigilia.

Przez chwilę czuła, że coś dławi ją w gardle, pod powiekami, zakłuły ją łzy.

W tym domu musi być wiele sypialni, pomyślał Julian, gdy późnym wieczorem, tuląc do siebie Blanche, wspinał się po schodach na piętro. Bertie przydzielił im wspólny pokój. Była to przestronna izba, której okna wychodziły na niewielki park rozciągający się na tyłach posesji. W dużym kominku płonął i ogień, a mrok rozświetlało kilka świec umieszczonych w lichtarzu. Pośrodku stało wielkie łóżko z baldachimem o rozsuniętych zasłonach.

Dobrze, że nie posiadałem dziewczyny wcześniej, doszedł do wniosku Julian, gdy zamknął drzwi sypialni i zgasił świecę, którą oświetlał drogę podczas wspinaczki po schodach. Od ponad tygodnia napawał się rozkoszą wyczekiwania. Teraz miał nastąpić punkt kulminacyjny. Blanche w ciemnozielonej sukni, którą miała na sobie tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy jedli razem kolację, wyglądała prawie posępnie, lecz jej fryzura, choć prosta, nie była nieatrakcyjna.

A przy kolacji i później, w salonie, prowadząc interesujące rozmowy, wyrażając opinie o podróży, o przystrojonym już świątecznie Londynie rozbrzmiewającym dźwiękami kolęd, a przede wszystkim - najdziwniejsze - o rozmowach pokojowych, które rozpoczęły się w Wiedniu po klęsce Napoleona Bonapartego i uwięzieniu cesarza na wyspie Elbie, zachowywała się jak wielka dama. Zagadnęła również Bertiego o zarządzonych przez niego przygotowaniach do świąt. Gospodarz popatrzył na nią tępym wzrokiem. Najwyraźniej nie planował niczego innego poza zabawianiem się ze swoją śliczną, rozkoszną Debbie.

W jakiś paradoksalny sposób posępny, surowy wygląd Blanche oraz jej wielkopańskie manieri niebywale Juliana podnieciły. Obie te cechy wydawały mu się niezwykle erotyczne.

Najwyraźniej skrywała pod swą powierzchownością wiele czaru i wdzięku.

- Podejdz do mnie - poprosił.

Dziewczyna, która stała przy kominku i grzała w jego ciepłe dłonie, odwróciła się z uśmiechem w stronę Juliana, po czym podeszła i stanęła tuż przed nim. Przebiegła, pomyślał. Z całą pewnością zdaje sobie sprawę z tego, iż jej ochota jeszcze bardziej rozpała mi zmysły. Ostatecznie na tym polega jej zawód. Ale już jego głowa w tym, by uległo to diametralnej zmianie. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Poczul dotyk jej smukłych ud i płaskiego brzucha. Zaczął szybciej oddychać. Ona z lekkim półuśmiechem spoglądała mu prosto w oczy.

- Nareszcie - szepnęła.

- Tak - odparła.

Uśmiech nie schodził jej z ust, lecz oczy miała czujne i nieruchome.

Pochylił głowę i złożył na ustach Verity pocałunek, ale ona nie rozchyliła warg. Wodził wargami po jej ustach i drażnił je językiem, starając się zmusić dziewczynę do rozchylenia ust.

- Co robisz? - szepnęła bez tchu, gwałtownie cofając głowę.

Julian popatrzył na nią ze zdumieniem. Ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć na tak bezsensowne pytanie, z jego twarzy znikł wyraz zaskoczenia i znów zastąpił go lekki, drwiący uśmiech. Dziewczyna położyła mu dłonie na ramionach.

- Wybacz - powiedziała. - Zacząłeś trochę zbyt szybko i gwałtownie, ale teraz jestem już gotowa.

Przycisnęła usta do jego ust, rozchyliła wargi i drżąca przywarła doń całym ciałem.

Co jest, do licha? - pomyślał, znów wytrącony z równowagi.

Ogarnęły go niemiłe podejrzenia. Zamknął dziewczynę w objęciach i nie siląc się nawet na delikatność, najgłębiej jak zdołał, wsunął jej do ust język. Tym razem nie cofnęła się. Na krótką chwilę tylko zeszywniała, po czym, prawie omdlała, zawisła w jego ramionach. Przesunął ręce, ujął w dłonie jej piersi i kciukami zaczął drażnić sutki. Blanche znów na chwilę zeszywniała.

Julian przerwał pocałunek i trzymając ją mocno w talii, bacznie popatrzył na nią spod przymkniętych powiek.

- Cóż, panno Heyward, jak smakował pani pierwszy pocałunek? - zapytał cicho.

- Mój pierwszy...

Dziewczyna popatrzyła nań pustym wzrokiem.

- Doprawdy zdziwię się, gdy za kilka minut, w łóżku, przekonam się, że jednak nie

jesteś dziewicą. Odpowiedziało mu milczenie.

- Zatem sprawdźmy.

- Nawet najniżej upadła ladaczniczka była kiedyś dziewica mój panie - wykrztusiła po chwili. - Zawsze jest ten pierwszy raz. Nie będę się wzdrygać, płakać ani sprzeciwiać twojej woli, jeśli tego się obawiasz. Zapłaciłeś mi hojnie. Możesz więc do woli używać mego ciała.

- Doprawdy? Nie płaciłem za rozkosz obcowania z cierpiętnicą.

Wypuścił ją z objęć, podszedł do kominka i nogą wsunął głębiej w ogień grube polano. Przez chwilę obserwował snop iskier niknących w czeluściach komina.

- Nie jestem cierpiętnicą - odparła Verity. - Po prostu zaskoczyłeś mnie. Nie wiem... Naprawdę jestem gotowa uczynić wszystko, czego ode mnie zażadasz. Wybacz, że przez chwilę zachowywałam się tak niezręcznie. Po dzisiejszej lekcji jutrzejszej nocy będę już lepiej wiedziała, czego po mnie oczekujesz. Mam nadzieję... że nie pożalujesz tak szczerze wydanych pieniędzy. Tak, tego jestem pewna. Okażę się bardzo pojętną uczennicą.

Czyż ona nie zdaje sobie sprawy, że każde wypowiedziane przez nią słowo jest jak kubał zimnej wody, która gasi płomień mojej żądz? - pomyślał zdumiony Julian. Ogarnął go gniew, nie, dostał wręcz furii. Ale nie na nią. Ostatecznie mówiąc o braku doświadczenia, była aż do bólu szczerą. Ogarnął go gniew na samego siebie, na własną przebiegłość. Czyż nie chciał przekazać jej później Bertiemu? Czyż nie chciał jej wykorzystać, a następnie pojechać do Conway? Czyż nie chciał po raz ostatni zaszczyć, a następnie wypełnić obowiązek, jaki narzucała mu rodzina i noszone nazwisko? Tak, został słusznie ukarany.

Czy przypadkiem mędracy spośród pustyni również nie wyzywali siebie od największych głupców?

- Nie interesują mnie dziewice, panno Heyward - powiedział szorstko.

- Ach, tak! A zatem nie podoba ci się towar, który kupiłeś, mój panie?

Zdumiony uniósł brwi i dłuższą chwilę spoglądał na dziewczynę przez ramię. Władza bardzo ostrą bronią i używała jej bez skrępowań...

- Czy pieniądze tych potrzebowałaś dla siebie? - zapytał, odwracając się od ognia w jej stronę. - A może twoja rodzina była w potrzebie?

Dopiero kiedy zadał to pytanie, uświadomił sobie, że wcale nie chce znać na nie odpowiedzi. Nie życzył sobie traktować Blanche Heyward jak osoby. Pragnął jedynie po raz ostatni zabawić się z doświadczoną i chętną partnerką.

- Na to pytanie nie muszę odpowiadać. Po powrocie do Londynu zwrócę ci pieniądze. Lecz cały czas jestem gotowa w pełni na nie zasłużyć.

- Blanche, jeśli dobrze pamiętam, nasza umowa przewidywała, iż w zamian za pewną

sumę pieniędzy spędzisz ze mną świąteczny tydzień. Nie było mowy o tym, że masz mi w tym czasie rozgrzewać łożo. A zatem spędzimy razem tydzień. I tak jest za późno, by którekolwiek z nas urządziło sobie święta w inny sposób. Poza tym chmury, które widzieliśmy w drodze, zapowiadają największe śnieżyce, jakie widziałem w życiu. Uratujmy zatem z tego Bożego Narodzenia, co się da. Prawda mówiąc, święta te mogą okazać się zarówno dla ciebie, jak i dla mnie najkoszarniejsze, jakie przeżyliśmy, ale kto wie? Może zapragnę nauczyć cię całować się tak, by twój następny pracodawca odkrył prawdę później, niż stało się to moim udziałem?! A teraz rozbieraj się i marsz do łóżka. za tymi drzwiami jest gotownia.

- A ty gdzie zamierzasz spać? - spytała Verity.

Julian popatrzył na podłogę, na której rozesłany był gruby, puszysty dywan.

- Tutaj. Chyba rozumiesz, że nie chcę, by Bertie domyśli się, że nie spędzamy upojnych nocy w swych objęciach.

- A więc to ty śpisz w łóżku. Ja położę się na podłodze.

Juliana ogarnęło nieoczekiwane rozbawienie.

- Blanche, powiedziałem przecież, że nie chcę patrzeć cierpiętnicę. Zmykaj do łóżka, zanim zmienię zdanie.

Kiedy niedługo potem Verity wyszła z gotowni, miała na sobie śnieżnobiałą, flanelową koszulę nocną, policzki barwiły jej rumieńce, a długie, tycjanowskie włosy były rozpuszczone. Podczas gdy dziewczyna przebierała się do snu, Julian zdążył zrobić sobie przy kominku posłanie z koców, które znalazł w szufladzie komody, oraz zabranej z łoża poduszki. Obrzucił dziewczynę przelotnym spojrzeniem, poczekał, aż wejdzie do łóżka i przykryje się po uszy kołdrą, po czym zgasił świece.

- Dobranoc - mruknął, moszcząc się w blasku ognia na swym prowizorycznym legowisku.

- Dobranoc - dobiegło ze środka sypialni.

Cóż za cudowna kara za wszystkie moje grzechy, pomyślał smętnie Julian, wierząc się na twardym posłaniu. Dlaczego, u licha, to robię? Przecież dziewczyna jest chętna, a ja jej uczciwie zapłaciłem. Tylko Bóg jeden wie, jak bardzo jej pożądałem i wciąż pożądam.

Doszedł do wniosku, że wcale nie kierowała nim niechęć do gwałcenia niewinności, a tym samym do nieuniknionej w takich razach krwi. Było dokładnie tak, jak powiedział. Nie miał ochoty patrzeć na cierpiętnicę.

„Nie będę się wzdragać, płakać ani sprzeciwiać twojej woli”.

Jeśli w języku angielskim istniały słowa bardziej wyprane z erotyzmu, to Julian ich nie

znał. Istotnie, cierpiętnictwo! Gdyby tylko go pragnęła, gdyby pragnęła choć troszeczkę, gdyby była zdenerwowana...

Julian na własnej skórze przekonał się, że panna Blanche Heyward nie jest przeciętną, typową tancerką występującą w operze.

Ależ czekają go święta! Pomyślał o Conway i o tym, co straci następnego, i jeszcze następnego dnia. W tej chwili nawet panna Plunkett wydawała się mu w miarę pociągająca.

- Jak spędziłbyś święta, gdybyś nie przyjechał tu ze mną? - zapytała cicho Verity, jakby czytała w jego myślach.

Udał, że już śpi.

Być może jutro pokaże jej, że spędzona z nim w jednym łóżku noc stanowi przyjemne doświadczenie. Lecz wbrew zwykłej pewności siebie, Julian nie sądził, by ta sztuczka mu się udała.

Zasnął.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tej nocy Verity spała nie najlepiej. Kiedy otworzyła oczy i ujrzała, że firanki w oknach barwi mętne światło budzącego się dnia, była zdumiona, że w ogóle zdołała zasnąć.

Od strony kominka dobiegało ciche pochrapywanie. Dziewczyna bacznie nadstawiła ucha. Zza drzwi nie docierały żadne dźwięki. Czyżby cały dom jeszcze spał? Naturalnie, pan Hollander i Debbie byli zapewne bardzo zajęci do późnych godzin nocnych, i z pewnością zamierzali zajmować się sobą jeszcze przez dużą część poranka.

Dziś miało być po wszystkim - błysnęła jej myśl. W tej chwili powinna być już kobieta upadłą. A poza tym Julian grubo się mylił. Wcale nie była cierpiętnicą. W głębi duszy była trochę skrępowana wspomnieniem jego twardego, przytulonego do niej ciała, rozkosznych pieścot jego ust. Kiedy wsuwał jej w usta język, wszystko w niej wirowało i tańczyło. Jakże było to cudownie intymne! Powinna czuć odrazę, ale przecież wcale jej nie czuła.

Tak, przyznawała przed samą sobą, z całej duszy pragnę doświadczyć wszystkiego do końca. Przyznawała też, iż spotkało ją srogie rozczarowanie, gdy mężczyzna, poznawszy prawdę o niej, odsunął ją od siebie.

No i teraz pozostawała im jedynie niemiła perspektywa wspólnego spędzenia świąt. I jak ma się sprawa owych pięciuset funtów, skoro minęła pierwsza noc, którą on przespał na podłodze?

Mają przed sobą całe święta Bożego Narodzenia. Cóż za przerażająca perspektywa!

Nieoczekiwanie jej uwagę przykuła pomiata sącząca się do pokoju przez firanki w oknach. Verity zerwała się z łóżka i nie zważając na przenikliwy chłód panujący w pokoju, na bosaka, szybko podeszła do okna. Rozsunęła zasłony. Och!

- Och! - wykrzyknęła na głos. Odwróciła się w stronę śpiącego na podłodze mężczyzny. - Och, podejdź tu i sam zobacz.

Julian podniósł głowę z poduszki. Był nie ogolony i potargany. Na twarzy malował mu się grymas gniewu.

- Co takiego? - warknął. - Która jest, do diabła, godzina?

- Popatrz - odrzekła Verity, znów odwracając się do okna. - Och, tylko popatrz.

Julian wygrzebał się z pościeli i podszedł do okna. Był w samej koszuli, bryczesach i w skarpetkach.

- Obudziłaś mnie tylko po to, by mi to pokazać? - burknął zaspanym głosem. -

Przecież mówiłem ci wczoraj, że będzie padać śnieg.

- Ale popatrz! - zawołała z zachwytem Verity. - Przecież to czysta magia.

Kiedy odwróciła głowę w jego stronę, skonstatowała, że mężczyzna patrzy na nią, nie przez okno, za którym rozciągał się biały całun śniegu.

- Czy zawsze jesteś z rana taka radosna? - zapytał. - Coś okropnego!

Verity wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

- Tylko w Boże Narodzenie oraz wtedy, gdy świat spowija biel świeżego śniegu. Nie zawsze się zdarza, by te dwa tak cudowne zdarzenia pojawiły się jednocześnie.

- Ja marzę tylko o ciepłym, wygodnym łóżku.

- Zatem idź do mojego - odrzekła i znów się roześmiała. - Ja nie zamierzam dłużej spać.

- Odnoszę wrażenie, że Bertie natychmiast każe ci wrócić do pokoju.

- Pan Hollander z całą pewnością o niczym się nie dowie, gdyż do południa nie opuści swego pokoju. Idź więc do łóżka i spokojnie sobie pośpij.

Kiedy wreszcie wyszła z gotowalni przebrana w swą najcieplejszą wełnianą suknię, z elegancko uczesanymi włosami, Julian pogrążony był w głębokim śnie. Verity przystanąła przy łóżku i dłuższą chwilę mu się przyglądała. Gdyby tylko zeszłego wieczoru nie zachowała się tak głupio i niezręcznie...

Potrząsnęła głową i wyprostowała się. Pan Hollander nie poczynił żadnych przygotowań do świąt. Niewątpliwie zamierzał spędzić tych kilka dni w łóżku w towarzystwie rozkosznej Debbie, która dostarczyłaby mu dostatecznej rozrywki. Cóż, w takim razie pokaże im, jak powinny wyglądać święta. Skoro nie mogła zarobić pieniędzy tak, jak się po niej spodziewano, zasłuży na nie w inny sposób.

Dwóch woźniców, lokaj, parobek, kucharka, osobisty służący pana Hollandera, główny zarządca, gospodyni i dwie pokojówki - wszyscy siedzieli przy śniadaniu. Na widok Verity kilkoro z nich poderwało się z miejsc; pozostali nie zwrócili na nią większej uwagi. Najwyraźniej nie byli pewni, czy mają ją traktować jak damę. Kucharka przesłała jej wręcz wrogie i pełne pogardy spojrzenie.

Na twarzy dziewczyny pojawił się promienny uśmiech.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedziała. - Jedzcie. Czeka was długi i pracowity dzień. - Na widok zdziwienia, jakie odmalowało się na twarzach służby, dodała: - Musimy przygotować święta.

Najwyraźniej Boże Narodzenie interesowało ich tyle samo co Hindusów.

- Pan Hollander nie życzy sobie zamieszania - oświadczyła kobieta będąca zapewne

gospodynią.

- Powiedział, że mamy mu tylko dostarczać posiłki i dbać o to, by w kominkach zawsze palił się ogień - dorzucił zarządca.

- I dobrze - odparła pogodnie Verity. - Czy mogę przysiąc się do was i zjeść śniadanie? Nie, proszę, nie wstawajcie. - Żadne z nich nie miało nawet takiego zamiaru. - Czy mogę sama się obsłużyć? A skoro pozwolono wam robić, co chcecie, równie dobrze możecie urządzić sobie święta. W sposób tradycyjny, z odpowiednim jedzeniem, śpiewaniem kolęd, dawaniem prezentów, dekoracją domu ostrokrzewem i jedliną; słowem zrobić i wszystko, na co starczy czasu w jeden dzień. Będziemy się doskonale bawić.

- Kiedy upiekę gęś, nikt nie będzie potrzebował noża - oświadczyła z przechwałą w głosie kucharka. - Nawet krawędź widelca okaże się zbyt ostra. Tak kruche mięso samo będzie rozplýwać się w ustach.

- Uwielbiam pieczoną gęś - odezwała się rozmarzonym głosem jedna z pokojówek. - Moja mama zawsze podaje ją na Boże Narodzenie. - Umilkła i dodała spiesznie: - Ale nigdy nie upiecze jej tak dobrze, by do jej pokrojenia wystarczał sam widelec, pani Lyons.

- A kiedy przyrządzę paszteciki z mięsem, każdy, kto spróbuje jednego, będzie już jadł je tak długo, aż zje wszystkie - ciągnęła kucharka.

- Hm - mruknęła Verity. - Na samą myśl płynie mi już ślinka do ust, pani Lyons. Bardzo chciałabym spróbować pani przysmaków.

- Cóż, i tak ich nie przyrządzę - odparła zdecydowanie kucharka. - Nie mam żadnych produktów.

- Czy nie można kupić ich w pobliskiej wiosce? - zainteresowała się Verity. - Jadąc tu wczoraj, widziałam tam kilka sklepów.

- Po takim opadzie śniegu trudno będzie tam dotrzeć - odpowiedziała kucharka.

Verity popatrzyła z uśmiechem na woźniców i parobka, którzy sprawiali wrażenie, jakby chcieli wtopić się w krzesła.

- Naprawdę? - spytała niewinnie. - Nawet dla gęsi, pierożków i zapewne kilku innych smakołyków? Nawet dla pani Lyons, która w moim przekonaniu jest najlepszą kucharką w całym Norfolkshire?

- Cóż, trochę znam się na gotowaniu - odrzekła skromnie pani Lyons.

- Czy w parku rosną sosny i ostrokrzew? - zapytała Verity. - Czy można tam znaleźć jemiolę? - Popatrzyła na dwie młode pokojówki. - Czym byłoby Boże Narodzenie bez kilku gałązek jemioli pozawieszanych tu i tam pod sufitem?

Jedna z pokojówek zarumieniła się po koniuszki uszu, a służący sprawiał wrażenie

niebywale zainteresowanego pomysłem.

- Jemioła rośnie na okolicznych dębach - odezwał się zarządca.

- Przejście między kuchnią a tylnymi schodami aż prosi się o gałązkę jemioły - stwierdziła Verity, wbijając zęby w grzankę.

Obie pokojówki zachichotały, a lokaj głośno chrząknął.

Verity wiedziała już, że najgorsze ma za sobą. Jej pomysł chwycił. Pan Hollander całkiem nieświadomie dał swojej służbie *carte blanche*. A służba uświadomiła sobie, że to przecież Boże Narodzenie i należy je uczcić. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszystkich opuściła apatia. Zadowolona z siebie Verity wygodniej usiadła za stołem i z apetytem pałaszowała jajka sadzone z grzankami, popijała je kawą i słuchała ożywionych rozmów służby czyniącej wielkie plany. Niebawem znalazło się nawet dwóch ochotników chętnych podjąć wyprawę do wioski.

- Nie możecie być wszędzie jednocześnie - oświadczyła Verity, przekrzykując panujący przy stole gwar. - Jemiołą i jedliną zajmę się ja, pan Hollander, lord Folingsby oraz panna... Debbie. Wy nam tylko pomożecie wszystko wnieść do domu.

Przy stole nieoczekiwanie zapadła cisza, którą przerwał dopiero chichot parobka.

- Pani się myli - powiedział. - Szlachetnie urodzeni dżentelmeni nie wyjdą z domu w obawie, że zniszczą sobie cerę oraz zabrudzą lśniącego obuwie. Taki pomysł proszę sobie wybić z głowy.

Lokaj ponownie chrząknął, tym razem z dużo większą godnością niż poprzednio.

- O panu Hollanderze wyrażaj się z większym szacunkiem, Bloggs - rzekł pod adresem parobka, który jednak najwyraźniej nie wziął sobie do serca reprimendy.

Verity uśmiechnęła się.

- Pana Hollandera i jego gości zostawcie mnie - oświadczyła. - Świętować będziemy wspólnie. Byłoby nieuczciwe wykluczyć ich z naszego grona i pozbawić dobrej zabawy.

Uwaga ta wzbudziła przy stole powszechną wesołość, a Verity wyobraziła sobie Juliana, jak kłuje i rani swoje arystokratyczne dłonie, ścinając gałązki ostrokrzewu. Zapewne przed południem nie opuści łóżka. Ale tu akurat była wobec niego niesprawiedliwa. W chwilę później, zupełnie jakby posłuszny jej planom, pojawił się w nie przystrojonym jeszcze jemiołą przejściu prowadzącym od schodów. Był nienagannie ubrany; a co osobliwsze, zrobił to bez pomocy swego osobistego służącego.

- A, tu jesteś. Blanche - mruknął, sięgając po monokl. - Ponieważ nie dostrzegłem żadnych śladów na śniegu przed domem, zaczynałem już podejrzewać, że dostałaś skrzydeł i odfrunęłaś.

- Zamierzamy wyprawić huczne święta - wyjaśniła z olśniewającym uśmiechem. - Wszystko już zostało zaplanowane. Później ty, pan Hollander, Debbie i ja udamy się do parku, żeby naciąć jedliny, ostrokrzewu i jemioly, którymi udekorujemy dom.

Jego lordowska mość przyłożył do oka monokl i rozejrzał się po twarzach zgromadzonych przy stole spiskowców. Na koniec skierował wzrok na Verity.

- Zaiste? - powiedział słabym głosem. - Co za urocza niespodzianka.

Julian siedział okrakiem na konarze wiekowego dębu. Pod drzewem stała Verity. Miała zadartą głowę i wyciągnięte ramiona, jakby chciała złapać spadającego mężczyznę. Tuż poza zasięgiem ręki Juliana wisiała dorodna kiść jemioly. Kilkanaście kroków od dębu po kolana w śniegu stał Bertie i głosem człowieka przeszywanego mieczem ryczał, iż ukłuł się cierniem ostrokrzewu w palec. Nieopodal domu leżała żałośnie mała sterta naciętej jedliny i gałązek ostrokrzewu - żałośnie mała, biorąc pod uwagę fakt, że mozolili się już na dworze od ponad godziny, wystawieni na mróz, ostre porywy wiatru i spadające z nieba wielkie płatki śniegu. Ciężkie bure chmury nie zrzuciły jeszcze na ziemię swego całego ładunku.

- Tylko nie spadnij! - ostrzegła Verity, kiedy Julian ostrożnie próbował dotrzeć do jemioly.

Zerknął na dół. Dziewczyna miała cudownie zaróżowione od mrozu policzki i nos.

- Czy mi się tylko wydaje, że zamieniłaś się w sierżanta musztry, który kazał mi wleźć na to przeklęte drzewo? - zapytał.

Verity wybuchnęła śmiechem.

- Jeśli spadniesz i stracisz życie, umieszczę na twoim nagrobku epitafium: „Poległ na posterunku, do końca pełniąc swe obowiązki”.

Julian posuwał się po grubej gałęzi, aż w końcu, ściskając kurczowo kolanami sękaty konar, zawisł niepewnie wysoko nad ziemią. Ostatecznie jednak jego misja uwieńczona została powodzeniem; narwał całe naręcze jemioly. Ale powrót nie był prosty. Nie miał jak cofnąć się do pnia drzewa. Zrobił więc to, co w podobnych sytuacjach robią chłopcy. Skoczył.

Wylądował na czworakach, zanurzając się z głową w kopnym, miękkim śniegu.

- Boże drogi, czy nie wyrządziłeś sobie krzywdy? - zawołała strwożona Verity, a kiedy Julian wyciągnął głowę z białego puchu, wybuchnęła radosnym śmiechem. - Wyglądasz jak pozbawiony godności osobistej bałwan. Gdzie masz jemiolę?

Młody dżentelmen dźwignął się na nogi, otrzepał się jedną ręką ze śniegu i przelotnie zerknął na kompletnie zniszczone buty.

- Voilà! - zawołał, wyciągając w jej stronę pęk ośnieżonej jemioly. - O, nie! -

zaprotestował, kiedy dziewczyna sięgnęła po gałęzie i cofnął ramię. - Pewne uczynki pociągają za sobą pewne konsekwencje. Za twoim podszeptem naraziłem życie. Zatem mnie należy się nagroda, a tobie kara.

Trzymając nad ich głowami w wyciągniętym ręku jemiolę, przycisnął dziewczynę do pnia dębu.

- Tak, mój panie - odrzekła pokornie Verity.

Natychmiast stwierdził, że nauka nie poszła w las, i dziewczyna dobrze przerobiła lekcję całowania, jaką dał jej poprzedniego wieczoru. Gdy położył usta na jej ustach, rozchyliła lekko wargi. Kiedy zaczął pieścić je językiem, cicho westchnęła. Wsunął jej głębiej język do ust i napawał się ich słodyczą.

- No cóż - mruknął, odrywając usta od jej warg. Czuł zawroty głowy, był bardzo podniecony. Takiego pocałunku zupełnie się nie spodziewał. - Ostatecznie to ty wpadłaś na pomysł z jemiolą.

- Tak. - Verity wyglądała bardzo ponętnie i dziewczęco, włosy miała lekko wzburzone. - I poniosłam słuszną karę.

Uszczęśliwiony Julian nie zwracał zupełnie uwagi na mokre ubranie i śnieg, który wpadł mu za kołnierz, i teraz, topiąc się, spływał mu lodowatymi strużkami po plecach.

Z tyłu dobiegło czyjeś dyskretne chrząknięcie. Julian obejrzał się i ujrzał parobka. Okazało się, że szukał Bertiego, który na dźwięk swego imienia wychylił głowę z gęstych zarośli ostrokrzewu.

- O co chodzi, Bloggs? - zapytał.

Parobek poinformował, że tuż przed bramą ugrzązł w przydrożnym rowie powóz i będzie go można wyciągnąć dopiero, gdy przestanie padać śnieg. A napadało go tyle, dodał z ponurą miną, że na piechotę nie da się dojść do najbliższej wioski. Nikt tego nie wie lepiej od niego. Przed dwoma godzinami on i Harkiss z trudem dobrnęli do domu z wiktuałami, a od tamtego czasu śniegu przybyło jeszcze więcej.

- Powóz? - zapytał Bertie, marszcząc brwi. - Czy byli w środku pasażerowie?

Głupszego pytania Julian w życiu nie słyszał.

- Dżentelmen, jego żona i dwóch chłopców, proszę pana - wyjaśnił Bloggs. - Przebywają teraz w domu.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Bertie i popatrzył na Juliana. - Wygląda na to, że mamy na Boże Narodzenie nieoczekiwanych gości.

- Do diabła! - mruknął Julian.

- Nieszczęśnicy! - powiedziała Verity i brnąc w głębokim, kopnym śniegu, ruszyła w

stronę domu. - Bloggs, czy nic im się nie stało? Mówiłeś, że jest z nimi dwoje dzieci? W jakim są wieku? Czy...?

Jej głos ucichł w oddali. Dziwne, pomyślał Julian, ruszając wraz z Bertiem i Debbie w stronę domu. Zauważył, że Bloggs podążał za Blanche niczym giermek za księżną, która sprawuje bezsporną władzę nad swoją dziedziną.

Poza tym, rzeczywiście wyrażała się i zachowywała jak udzielna księżna.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wielebny Henry Moffatt zamierzał spędzić Boże Narodzenie u rodziny swej żony w miasteczku odległym o trzydzieści mil od jego parafii. Przyznawał, że postąpił bardzo nieroztropnie, wybierając się w podróż w tak niepewną pogodę i nie zwracając uwagi na to, że towarzyszy mu dwoje małych dzieci i ciężarna żona.

Wielebny był bardziej niż skruszony. Przerażeniem napawało go przypuszczenie, co mogło przytrafić się jego rodzinie, gdy powóz po wpadnięciu do przydrożnego rowu o mało nie przeokoziółkował. Poza tym krępowało go to, że w Boże Narodzenie narobił obcym ludziom tyle kłopotu. Dopytywał się, czy przypadkiem w pobliżu nie ma jakiejś oberży.

- W odległej o trzy mile wiosce - poinformowała go Verity. - Po ostatnich opadach śniegu nie zdoła pan do niej dotrzeć. Muszą zatem państwo zostać u nas. Zresztą pan Hollander nie pozwoli wam odejść.

- Czy pan Hollander jest pani mężem? - spytał wielebny Moffatt.

- Nie - odparła z uśmiechem Verity. - Ja również jestem jego gościem. Pani Moffatt, proszę przejść do salonu, spocząć przy ogniu i trochę się ogrzać. Bloggs, proszę z łaski swojej udać się do kuchni po gorącą herbatę. I proszę też przynieść coś do jedzenia. - Przesłała promienny uśmiech dwóm malcom, którzy z szeroko otwartymi buziami rozglądali się wokół siebie. Młodszy chłopiec, trzy lub czteroletni, zdejmował z szyi długi szalik. - Czy jesteście głodni? No tak, zadałam niemądre pytanie. Z doświadczenia wiem, że mali chłopcy zawsze są głodni. Idźcie wraz z mamą do salonu. Zobaczymy, co podeśle wam kucharka.

W tej samej chwili do domu weszli pan Hollander, Debbie i wicehrabia Folingsby. Wielebny Moffatt przedstawił się i ponownie zaczął przeproszać za kłopot.

- Jestem Bertrand Hollander - przedstawił się młody dżentelmen, wyciągając prawicę w stronę nieoczekiwanego gościa. - To jest... moja żona, a to wicehrabia Folingsby.

Verity, która prowadziła właśnie panią Moffatt i dzieci do salonu, zatrzymała się i przedstawiła ich gospodarzowi.

- Czy pan poznał już moją żonę, wicehrabinę? - zapytał Julian, kierując spojrzenie na Verity.

- Naturalnie. - Wielebny Moffatt wykonał niski ukłon. - Pańska żona jest wyjątkowo miłą osobą.

Kolejne kłamstwo, pomyślała Verity. Jej nowy mąż zdjął z siebie wierzchnie ubranie i wszedł do salonu, gdzie służąca usadzała właśnie na krzesłach przy płonącym kominku

ciężarną panią Moffatt i chłopców. Julian stanął obok Verity i objął ją w pasie. Po chwili Verity poczuła, że chwyta ją dyskretnie za lewą dłoń. Gdy wniesiono tace z filiżankami z herbatą i talerze z jedzeniem, wicehrabia wsunął jej coś na serdeczny palec.

Był to sygnet, który Julian zazwyczaj nosił na małym palcu prawej dłoni. Pierścień był trochę za duży, więc Verity musiała uważać, by nie zsunął się jej z ręki. Pierścień doskonale pełnił rolę ślubnej obrączki. Verity rzuciła spojrzenie na Debbie. Dłoń młodej niewiasty zdobił podobny sygnet.

Z rozbawieniem pomyślała, że wicehrabia Folingsby i pan Hollander stanowią parę doświadczonych i zaprawionych w licznych bojach konspiratorów, obytych z tego rodzaju praktykami.

- Nie chcę słyszeć żadnych przeprosin, miły panie - oświadczył pogodnie i z humorem Hollander, zwracając się do pastora. - Moja żona i ja będziemy zaszczyceni, mogąc gościć państwa podczas świąt. Zaczynaliśmy już z małżonką żałować, iż poza dwojgiem naszych przyjaciół nie zaprosiliśmy na Boże Narodzenie więcej gości. Zwłaszcza gości z dziećmi, bo czym są święta bez dziecięcego gwaru i śmiechu.

- Bardzo pan łaskaw - odezwała się pani Moffatt, przykładając dłoń do wystającego brzucha.

- O, tak - wtrąciła się do rozmowy Debbie - cudownie będzie słuchać tupotu nóżek tych maleństw i ich radosnego śmiechu. Niech pastor również usiądzie i czuje się jak u siebie w domu. Proszę, na stole jest filiżanka z herbatą i talerzyk. Musieli państwo przeżyć straszne chwile, kiedy powóz staczał się do rowu.

- Przechyliliśmy się, o tak - oświadczył starszy chłopiec, przechylając się mocno w bok i wyciągając ręce. - Myślałem już, że powóz przewróci się na dach i zacznie koziółkować.

- A ja nic a nic się nie bałem! - zawołało zuchowato młodsze dziecko, popatrzyło na Verity, wsunęło do buzi kciuk, lecz natychmiast go wyciągnęło. - Ja niczego się nie boję.

- Rupert, David, odzywajcie się tylko wtedy, gdy ktoś się do was zwróci - zgromił malców ojciec.

Nie zrażony reprimendą chłopiec pociągnął go za łokieć.

- Czy możemy wyjść na dwór? - spytał szeptem.

- Oj, dzieci, dzieci! - zawołała ze śmiechem pani Moffatt. - Można by pomyśleć, że po takiej przygodzie nie zechcą wytknąć nosa z domu. Ale one uwielbiają bawić się pod gołym niebem.

- A więc mam dla nich zajęcie - oświadczył Julian, podnosząc do oka monokl. - Przed

domem leży cała sterta naciętej jedliny i ostrokrzewu. Koniecznie trzeba to wnieść do środka. Nie będzie świąt, jeśli nie przystroimy zielenią całego domu. - Zmarszczył brwi i popatrzył z uwagą po kolei na każdego z chłopców. - Myślę, że są wystarczająco silni, by się tym zająć. Co ty na to, Bertie?

Dwie pary oczu wlepiły niespokojny wzrok w gospodarza. Oczy te błagały: „Pozwól, pozwól”, podczas gdy ich właściciele siedzieli z buziami w ciup posłuszni woli ojca.

- A co ty sądzisz na ten temat, Julianie? - Bertrand Hollander w głębokim namyśle ściągnął usta. - Myślę... chwileczkę. Chłopcze, czy to, co wypycha ci rękawy koszuli, to mięśnie?

Starsze dziecko popatrzyło z desperacką nadzieją na swoje ramię.

- Tak, to mięśnie - zdecydował w końcu pan Hollander.

- Młodszy chłopak również sprawia wrażenie tęgiego zucha - oświadczył Julian, spoglądając na dziecko przez monokl. - Myślę, że tych chłopców zesłała nam sama opatrność. Wkładajcie szaliki, czapki, rękawiczki i poproście mamę o pozwolenie. Kiedy już będziecie gotowi, pójdziecie ze mną.

Verity ze zdumieniem obserwowała metamorfozę dwóch znudzonych, zblazowanych hulaków w dobrodusznych wujków. Chłopcy zerwali się z miejsc i padli na kolana przed krzesłem, na którym siedziała ich matka.

- Jest pan nazbyt łaskawy - powiedziała z lekkim uśmiechem żona pastora. - Te urwisy pana zamęczą.

- Wcale nie - zapewnił ją Julian. - A stos gałęzi do przeniesienia jest naprawdę imponujący.

- A kiedy już się z tym uporacie, pomożecie dekorować dom - oświadczyła Verity. - Mamy gałązki jedliny, ostrokrzewi i jemiółę. Pani Simpkins przyniesie ze strychu wstążki, bombki i dzwoneczki. Dęb... pani Hollander i ja wybierzemy spośród nich najładniejsze. Jutro dom ma cały lśnić. Mogę śmiało powiedzieć, że będą to najpiękniejsze i najweselsze święta, jakie kiedykolwiek spędziłam w życiu.

Mówiąc to, popatrzyła wicehrabiemu Folingsby prosto w oczy. On tylko uniósł brwi, a na ustach wykwitł mu drwiący uśmiešek. Wcale tym Verity nie zmylił. Raz już go widziała bez maski znudzonego cynika i światowca. Widziała go, gdy niczym niesforny uczeń wspinął się na drzewo. A robił to nie tylko na jej prośbę, lecz głównie dlatego, że skoro drzewo istnieje, to należało na nie się wdrapać. Doskonale pamiętała tajemny błysk w jego oczach i roześmianą, radosną twarz.

A poza tym wciąż czuła... och, jak bardzo czuła!... jego pocałunek. I wcale nie miała

do niego o to pretensji. Zasłużył na ten pocałunek; nie za pięćset funtów, lecz za samo zerwanie jemioli. Jemiola sankcjonowała pocałunek - długi i bardzo namiętny.

- Wszystko wskazuje na to, że spędzimy z państwem święta - odezwał się wielebny Moffatt, kiedy obaj młodzi dżentelmeni wraz z uszczęśliwionymi dziećmi opuścili salon. - Nie wiem jednak, jak wyrazić wdzięczność za serdeczność, z jaką się tu spotkaliśmy. Czasami odnoszę wrażenie, że to Bóg kieruje naszymi krokami, wiodąc nas tam, gdzie wcale nie zamierzaliśmy iść, i gdzie spotykamy ludzi, których nawet nie spodziewaliśmy się spotkać. Aż serce mi rośnie na widok, z jaką radością przygotowują się państwo do świąt.

- Zawiesimy pod sufitami gałązki jemioli, aby ludzie mogli się całować - oświadczyła z wielkim ożywieniem Debbie. - W moim rodzinnym domu również panował taki zwyczaj. Nikt nie uniknął kilku siarczystych całusów. Och, prawie już o tym zapomniałam... Tak, Boże Narodzenie zawsze było dla mnie najpiękniejszym świętem.

- Ma pani całkowitą rację, pani Hollander - odrzekła z uśmiechem żona pastora. - To naprawdę piękny czas, którego nie potrafi nawet zmącić fakt, że musimy spędzić go z dala od naszych bliskich. Pani mąż okazał naszym dzieciom wiele serca. Pani mąż również - dodała, spoglądając z wdzięcznością na Verity. - Malcy cały dzień spędzili w powozie i teraz rozpięra ich energia.

- Z tego, co pani mówi, pani Folingsby, wynika, że dziś i jutro droga do wioski będzie nie do przebycia - stwierdził wielebny Moffatt. - A zatem nikt nie będzie mógł udać się do kościoła. Chciałbym choć w niewielkim stopniu spłacić dług wdzięczności, jaki u państwa zaciągnęliśmy. Jestem gotów odprawić tu pasterkę. I udzielić wszystkim komunii świętej. Oczywiście jeśli pan Hollander wyrazi na to zgodę.

- Doskonały pomysł. Henry! - poparła pomysł męża pani Moffatt.

Verity przyłożyła dłonie do piersi i zamknęła oczy. Nieoczekiwanie przypomniała sobie pasterki w rodzinnej wsi, dźwięk dzwonów głoszących narodziny dzieciątka, płonące świece i piękny żłobek ustawiony obok ołtarza, ojca w najlepszej sutannie, spoglądającego z uśmiechem z ambony na swą trzódkę. Boże Narodzenie stanowiło dlań największe święto w roku liturgicznym.

- Będziemy pana dłużnikami - zwróciła się do kapłana, mrugając powiekami, by odpędzić napływające jej do oczu. - Jestem pewna że pan Hollander i wice... mój mąż nie będą mieli nic przeciwko nabożeństwu.

- Czekają nas cudowne święta - odezwała się Debbie. - Nie spodziewałam się tego. Nie spodziewałam.

- Niezbadane są wyroki boskie - stwierdziła z zadumą w głosie pani Moffatt.

- Julianie, czy nie odnosisz wrażenia, iż czasami wydarzenia nabierają takiego tempa, że kontrola nad nimi zaczyna wymykać się nam z rąk? - zapytał Bertie, który wraz z przyjacielem czekał w salonie, aż zejdą się na wigilijną wieczerzę wszyscy domownicy.

Dom nabrał już odświętnego wyglądu. Ściany przystrojono jedliną starannie udekorowaną czerwonymi bombkami, wstążkami i srebrnymi dzwoneczkami. Obok kominka, spod sufitu, zwisał pęk jemioli. Salon przenikał intensywny zapach żywicy, a z kuchni dochodziły smakowite wonie.

- A czy ty nie odnosisz czasami wrażenia, iż nie należy z góry przyczepiać kobietom etykietek? - odrzekł Julian, puszczając mimo uszu retoryczne pytanie Bertiego.

- A czy miałeś przez trzy lub cztery lata kucharkę i dopiero po upływie tak długiego czasu odkryłeś, że potrafi znakomicie gotować? Nie próbowałem jeszcze robionych dziś przez nią przysmaków, lecz sądząc po dochodzących z kuchni zapachach...

Od rana trwały w domu gorączkowe przygotowania do świąt, a ton wszystkiemu nadawała jedna osoba - panna Blanche Heyward. Julian zastanawiał się, czy to przypadkiem nie ona, za pomocą jakichś czarów, wywołała z zamieci pastora i jego rodzinę. Sprawy wzięły tak nieoczekiwany obrót.

- Czy ktoś zauważył, że na palcach naszych pań pojawiły się pierścionki? - spytał Julian.

Bertie otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili rozwarły się drzwi i do salonu wkroczyły obie młode kobiety. Debbie popatrzyła na odświętnie ubranych mężczyzn.

Czy po to zawieszałam jemiolę, aby mój pan stał sobie obojętnie z boku? - zapytała. - Marsz pod gałązki!

- Znowu? - zapytał Bertie, ale posłusznie ruszył do wskazanego kąta.

Po zawieszeniu jemioli wszyscy zdążyli się już solidnie wycalaować. Nawet wielebny Moffatt ucałował swoją żonę, a następnie cmoknął w policzek Debbie i Verity.

- I co ty na to. Blanche? - zapytał Julian, lustrując dziewczynę od stóp do głów. Miała na sobie ciemnozieloną aksamitną suknię, włosy skromnie zaczesaała w kok. Każda inna kobieta w takim stroju i z taką fryzurą wyglądałaby po prostu posępnie, ale nie Blanche. - Czy dobrze się bawisz?

Błyszczące dotąd oczy dziewczyny zmatowiały.

- Kiedy zapominam o przyczynie mego pobytu w tym domu - odparła. - Wzięłam od ciebie dużo pieniędzy, a niczym jeszcze się nie odplaciłam.

- Pozwól, że o tym ja będę wyrokować.

- Dzisiejszej nocy naprawię to niedopatrzenie - oświadczyła stanowczo. - Przez cały dzień zdążyłam się już z tą myślą oswoić. Mogę okazać się trochę nieporadna, gdyż nie znam tych rzeczy, ale nie czuję lęku i nie zamierzam zachowywać się jak cierpiętница. A może nawet mi się to spodoba? Poza tym odzyskam spokój ducha, gdy zrobię coś, czym zasłużę na pieniądze, które mi dałeś.

Julian pomyślał, że gdyby w domu byli jedynie Bertie i Debbie, którzy w tej chwili radośnie figlowali pod jemiolą, wymówiłby się od kolacji i niezwłocznie poszedł z Blanche do łóżka Mimo uczynionej przez dziewczynę wzmianki o pieniądzach, jej słowa bardzo go podnieciły. Poza tym odnosił nieprzeparte wrażenie, iż ona również jest podekscytowana. Ale mieli na głowie gości, a ponadto nie był pewien, czy naprawdę zdołałby się przemóc i zrobić to z Blanche.

Gdyby jego pobyt w Norfolkshire przebiegał zgodnie z planem, miałby już za sobą rozkoszną, bezseną noc spędzoną a śliczną kobietą. Zostaliby w łóżku do południa i po obiedzie znów do łóżka wrócili. Zastanawiał się, na ile starczy mu wigoru nadchodzącej nocy. Ale tym martwić się będzie następnego dnia... odpoczywając w łóżku.

Przez cały miniony tydzień, aż do ostatniego wieczoru, cieszył się perspektywą nadchodzących świąt. Tego więc ranka, po przebudzeniu się na rozłożonym na podłodze pościeli, czuł się oszukany i ograbiony. Czy raczej kiedy to Blanche go obudziła i podekscytowanym głosem oznajmiła, że w nocy napadało dużo śniegu.

Teraz ku własnemu zdumieniu konstatawał, że jest bardzo zadowolony z kończącego się dnia. W osobliwy sposób pocałunek przy dębnie sprawił mu taką samą satysfakcję, jakby spędził z dziewczyną całą noc w łóżku. W pocałunku tym było dużo radości, śmiechu i pożądania. Dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ważnym elementem doświadczenia erotycznego jest właśnie śmiech.

- Rozczarowałam cię - odezwała się cicho Verity. - Bardzo mi z tego powodu przykro.

- Wcale nie - odrzekł Julian, zakładając ręce za plecy. - Jak mógłbym czuć się rozczarowany. Popatrz sama. Noc spędzona na podłodze, wczesna pobudka mroźnym świtem, by popatrzeć na padający śnieg, niebezpieczna wspinaczka na drzewo, zniszczone kompletnie buty. Pojawienie się nieoczekiwanego gościa, pastora, godzina zajęć z dziećmi, które rozpieła energia, i kolejna godzina spędzona na wspinaniu się na meble i zawieszanie pod sufitem jemioly. A teraz jeszcze perspektywa mszy w przerobionym na świątynię salonie. Droga panno Heyward, czegoż więcej mógłbym życzyć sobie w święta Bożego Narodzenia?

Verity wybuchnęła śmiechem.

- Odnoszę wrażenie, że mimo wszystko dzisiejszy dzień bardzo ci się podobał -

powiedziała.

Julian podniósł do oka monokl i przez chwilę obserwował przez niego swoją rozmówczynię.

- A ty sądzisz, że spodoba ci się dzisiejsza noc - odpowiedział. - W porządku. Blanche, zobaczymy jutro rano. Chwilowo pierwszeństwo mają nasi niespodziewani goście. Chyba słyszę zbliżający się tupot małych nóżek i dziecięcy śmiech, jak poetycko określiła to Debbie. Podejrzewam, że jesteśmy skazani na obecność tych niebożątek, jak też ich mamy i taty. Przecież nie ma tu ani niańki, ani pokoju dziecięcego.

- Z tonu twego głosu, mój panie, wnioskuję, że bardzo polubiłeś tych malców. I nie próbuj mi wmawiać, że tak nie jest.

- Wielki Boże! - westchnął ciężko Julian w chwili, gdy otwierały się drzwi pokoju.

W rogu salonu stał szpinet. Verity kilkakrotnie w ciągu dnia zatrzymywała wzrok na instrumencie, lecz kiedy próbowała unieść jego klapę, ta okazała się zamknięta na kluczyk. Gdy po wieczery wielebny Moffatt przygotowywał się do odprawienia nabożeństwa, jego żona zagadnęła o ten instrument. Pan Hollander ze zdziwieniem, jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu, popatrzył na szpinet. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie może znajdować się kluczyk. Ale to i tak nie miało większego znaczenia; chyba że ktoś z domowników potrafił grać na tym instrumencie.

W pokoju zapadła cisza, którą przerwała dopiero Verity.

- Ja umiem grać.

- Cudownie! - rozpromienił się wielebny Moffatt. - Zatem podczas nabożeństwa będziemy mieć muzykę. Mogę wprawdzie prowadzić śpiew, ale, niestety, na ucho nadepnął mi słoń i bez akompaniamentu okropnie bym fałszował.

Wybuchnął hałaśliwym śmiechem. Bertie Hollander ruszył na poszukiwanie kluczyka, a raczej na poszukiwanie służącego, który wiedział, gdzie znaleźć klucz.

- Blanche, gdzie nauczyłaś się grać na szpinecie? - zainteresowała się Debbie.

- W parafii - odrzekła z uśmiechem Verity, żałując, że nie ugryzła się w porę w język.

- Nauczyła mnie żona proboszcza - dodała spieszenie.

Ostatecznie nie skłamała.

Do salonu wkroczył triumfalnie Bertie Hollander, trzymając w wyciągniętej nad głowę ręce kluczyk. Szpinet okazał się wprawdzie trochę rozstrojony, lecz Verity była przekonana, że jakoś sobie poradzi. Choć nie miała nut, ulubione psalmy i kolędy od dzieciństwa jeszcze znała na pamięć.

Stół zamieniono w ołtarz. Nakryto go śnieżnobiałym obrusem, który jedna z

pokojówek starannie wyprasowała, ustawiono na nim świece w srebrnych lichtarzach, a obok wytworny kubek i talerz, które służyć miały za patenę i kielich. Lokaj oczyścił z kurzu butelkę z najprzedniejszym winem, jakie pan Hollander miał w piwniczce. Kucharka upiekła okrągły bochenek praśnego chleba. Gdy wielebny Moffatt nałożył sutannę, nieoczekiwanie odmłodniał, nabrał wielkiej godności; emanował wręcz świętością.

Verity rozejrzała się po salonie, konstatuując, że przestronny pokój zamienił się nieoczekiwanie w najprawdziwszą świątynię. Wszyscy łącznie z dziećmi siedzieli w milczeniu, jak w kościele, czekając na rozpoczęcie nabożeństwa. Verity usiadła do szpinetu i zaczęła grać ulubiony psalm.

A więc nadeszło Boże Narodzenie, myślała, przelękając łzy wzruszenia. Tego roku, poza straszliwą samoofiarą nie spodziewała się niczego dobrego. Na przekór wszystkim kłamstwom i szachrajstwom, mimo fałszywej obrączki ślubnej na palcu, Boże Narodzenie nadeszło. Boże Narodzenie zawsze było porą pokuty dla grzeszników, a oni wszyscy - ona, Bertie Hollander, Debbie, wicehrabia Folingsby - byli zatwardziałymi grzesznikami. I oto Boże Narodzenie samo ich odnalazło, pojawiając się w postaci kapłana i jego rodziny. Boże Narodzenie ofiarowało im bezgraniczną miłość i przebaczenie w postaci chleba i wina.

Przed blisko dwoma tysiącami lat narodziło się dziecię i oto miało ponownie przyjść na świat, tak jak każdego roku w przeszłości, i jak miało się rodzić każdego roku w przyszłości. Nieustanne narodziny. Nieustanna nadzieja. Nieustanna miłość.

- Moi mili...

Kapłan mówił cichym, spokojnym, uroczystym głosem, jakże innym od tego, jakim prowadził rozmowy podczas wieczerzy. Uśmiechał się łagodnie, obdarzając zgromadzonych ciepłem i spokojem tej jedynej, najczarowniejszej nocy w roku.

I tak oto rozpoczęło się nabożeństwo.

Trwało ponad godzinę, a zakończyło je radosne wspólne śpiewanie kolęd. Verity zauważyła, że każdy, łącznie z nią, wkładał w te pieśni całe serce; nawet jeden z woźniców, który nie miał zupełnie słuchu, oraz gospodyni, której głos wyraźnie drżał i wibrował. Bertie Hollander śpiewał dźwięcznym barytonem. Debbie z akcentem z Yorkshire. David Moffatt ciągnął pieśni, niemilosiernie fałszując i nadając im własne melodie. Tak, z całą pewnością nie stanowili dobrego chóru. Ale to nie miało większego znaczenia. Wszyscy ze szczerego serca świętowali nadejście Bożego Narodzenia.

I wtedy, gdy kapłan wypowiedział ostatnie słowa liturgii i życzył wszystkim wesołych świąt oraz spełnienia wszystkich marzeń, odezwała się głośno pani Moffatt:

- Przepraszam pana, panie Hollander, i pańską żonę za ogromny kłopot, jaki jeszcze

państwu sprawię. Henry, kochanie, chyba będziemy mieć bożonarodzeniowe dziecko.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Henry Moffatt już od kilku godzin przechadzał się nerwowo po salonie.

- Po dwóch synach człowiek powinien przywyknąć do takich zdarzeń - odezwał się, przerywając na chwilę przemierzanie pokoju, i zwrócił pobladłą twarz, na której malował się wyraz skrajnego niepokoju, ku siedzącym przy kominku Julianowi i Bertiemu. Obaj dżentelmeni byli równie bladzi jak pastor. - Ale nie. Kiedy myślę o nowym dziecku, o własnym dziecku, przychodzącym na świat... Gdy myślę o żonie, ciele mego ciała, sercu mego serca, cierpiącej samotnie ból, wystawionej na niebezpieczeństwo utraty życia... W takich chwilach czuję się bezradny, pokorny i bardzo za wszystko odpowiedzialny. I winny temu, że wątpię w zamiary Wszechmogącego. Byłoby rzeczą trywialną mówić w takim momencie, iż żywimy nadzieję, że tym razem będzie to dziewczynka.

Znów zaczął przemierzać pokój z jednego kąta w drugi.

- Czyż to się nigdy nie skończy?

Julian nie był dotychczas jeszcze w domu, w którym odbywał się poród. Gdy o tym myślał, gdy myślał o tym, co dzieje się na piętrze - a jak mógł o tym nie myśleć - po plecach przebiegały mu zimne dreszcze. Przypominał sobie, jak beztrąsko planował przed kilkoma zaledwie dniami, że na następne Boże Narodzenie sam będzie mieć dziecko.

Poród musiał boleć jak wszyscy diabli, lecz o tym głośno się nie mówiło.

W wiosce brakowało lekarza. Była tam jedynie akuszerka, ale mieszkała milę za wioską. Było rzeczą niemożliwą do niej dotrzeć, nie mówiąc już o tym, że z całą pewnością nie dałaby się namówić na tak daleką i ciężką wyprawę, by odebrać poród.

Na szczęście pani Moffatt zachowywała się bardzo dzielnie i oznajmiła spokojnie - zapewne jej spokój był bardziej niż pozorny - że przecież urodziła już dwójkę dzieci, uczestniczyła w kilku innych porodach, i zna się na rzeczy. Oświadczyła, iż poradzi sobie sama, jeśli tylko gospodyni dostarczy jej niezbędnych akcesoriów. Godzina była już późna, więc poprosiła domowników, by udali się na spoczynek, a ona postara się nie zakłócać im snu zbyt głośnymi krzykami.

Julian natychmiast wyobraził sobie, jak nieszczęsna niewiasta krzyczy w straszliwej udręce i bólu.

Debbie popatrzyła na nią oczyma wielkimi jak spodki.

- Jeśli jest pani tego pewna - mruknął Bertie i zbladł jak papier.

- Henry, najpierw połóżmy dzieci do łóżek - zwróciła się pani Moffatt do męża, - A

panią, pani Simpkins, zawołam natychmiast, jak już będzie po wszystkim.

Twarz pani Simpkins przybrała chorobliwie zielonkawy odcień.

I wtedy do sprawy włączyła się Verity.

- Z całą pewnością nie zostawimy pani samej - oświadczyła zdecydowanie, po czym zwróciła się do jej męża: - Pastorze, niech będzie pan łaskaw sam położyć dziś dzieci spać. Chłopcy, pocałujcie mamusię na dobranoc. Niewątpliwie z rana czeka was ogromna niespodzianka. Im szybciej zaśniecie, tym szybciej dowiecie się, co to takiego. Pani Lyons, proszę przypilnować, by na piecu czekał sagan z gorącą wodą. A pani, pani Simpkins, niech przygotuje czyste, lniane prześcieradła. Debbie...

- Blanche, ja nie... - zaprotestowała rozpaczliwie dziewczyna.

- Będziesz mi potrzebna - odrzekła nie zrażona jej odmową Verity i przesłała Debbie uspokajający uśmiech. - Masz tylko wycierać pani Moffatt twarz szmatką zmoczonym w chłodnej wodzie. Nic więcej. Mogę na ciebie liczyć, prawda? Resztą zajmę się ja.

Resztą. Odebraniem porodu. Julian ze zdumieniem i fascynacją spoglądał na Blanche.

- Czy już to kiedyś robiłaś? - zapytał, gdy opuściło go pierwsze osłupienie.

- Naturalnie - odparła żywo dziewczyna. - W parafii... aaa... zazwyczaj pomagałam odbierać żonie wikarego porody. Dokładnie wiem, co należy robić. Nie ma powodów do obaw.

Kim, do licha, jesteś. Blanche? - pomyślał zdziwiony. Co córka kowala mogła robić w parafii? Liczyła się grać na szpince bez nut? Odbierać porody?

Wszyscy bez reszty podporządkowali się jej zarządzeniom. Niebawem w salonie zostali tylko trzej mężczyźni, trzej nieprzydatni do niczego mężczyźni; przerażeni, poruszeni do żywego.

Nieoczekiwanie z trzaskiem otworzyły się drzwi. Trzy pobladłe oblicza z malującym się na nich wyrazem strachu odwróciły się w tamtą stronę.

Debbie miała zaczerwienione policzki, włosy w nieładzie, i owinięta była w fartuch uszyty chyba dla olbrzyma. Na ramiona spadał jej niesforny pukiel mokrych od potu włosów. Ale jej twarz promieniała radością, która nadawała jej urodzie nowy blask.

- Już po wszystkim, proszę pana - zwróciła się bez zbędnych wstępów do pastora. - Ma pan nowe dziecko. Nie powiem jakiej płci. Pańska żona oczekuje pana.

Pan Moffatt stał przez chwilę jak słup soli, po czym na sztywnych nogach opuścił salon.

- Bertie - Debbie zwróciła wypełnione łzami oczy na młodego dżentelmena - szkoda, że cię tam nie było, kochanie. Dziecko wyszło prosto w ręce Blanche. Cudowne, śliskie stwo-

rzenie... nowy człowieczek. Och, Bertie, kochanie. - Z głośnym szlochem rzuciła mu się w ramiona.

Bertie nieudolnie zaczął ją uspokajać, rzucając przy tym błagalne spojrzenia na Juliana.

- Nigdy jeszcze w życiu nie doznałem większej ulgi - oświadczył. - Ale jestem rad, że mnie tam nie było. Najlepiej, jak natychmiast pójdziemy do łóżka. Nie jesteś już tu potrzebna, prawda?

- Blanche pozwoliła mi iść spać. Wszystkim się zajmie. Żadna akuszerka nie poradziłyby sobie lepiej. Gdyby nie ona, pani Simpkins i ja wpadłybyśmy w panikę. Pani Moffatt również ani na chwilę nie straciła spokoju. Cały czas przepraszała nas za kłopot, jaki sprawia. Dzielna kobieta. Nigdy nie czułam się tak... uhonorowana. Bertie, kochanie, mnie, Debbie Markle, prostej, choć ucziwej ladacznicy pozwolono w tym wydarzeniu uczestniczyć.

- Daj spokój, Debbie. Chodźmy na górę.

Bertie objął ją i wyprowadził z salonu.

Kilka minut później Julian również opuścił salon. Nie miał pojęcia, która jest godzina. Zapewne jakaś nieludzka, zapewne za oknem wstawał już brzask. Wszedł po ciemku po schodach, w jego sypialni służba rozpałała ogień w kominku. Julian stanął przy oknie i zaczął wyglądać przez okno.

Śnieg przestał padać, niebo zrobiło się bezchmurne. Popatrzył na nie i zrozumiał, że się mylił. Do świtu było jeszcze bardzo daleko.

Wciąż jeszcze stał przy oknie, gdy w jakiś czas później do pokoju weszła Verity. Odwrócił głowę i zerknął za siebie przez ramię.

Była potargana, zmęczona, lecz bardzo piękna.

- Nie musiałeś na mnie czekać - powiedziała cicho.

- Chodź tu - odrzekł, przywołując ją ręką.

Podeszła i śmiertelnie zmęczona oparła się o jego tors. Julian zamknął ją w objęciach. Dziewczyna ciężko westchnęła.

- Popatrz - powiedział, wyciągając rękę.

Przez długą chwilę oboje milczeli. Na niebie świeciła jasno bożonarodzeniowa gwiazda, symbol nadziei, znak dla wszystkich poszukujących mądrości i sensu życia. Julian nie wiedział jeszcze, czego nauczyły go te święta, ale czegoś z pewnością nauczyły. Nie potrafił tego w tej chwili wyrazić w słowach, ułożyć w zrozumiałą całość. Czegoś niewątpliwie się nauczył. Coś zdobył.

- Boże Narodzenie.

W tych dwóch słowach zawierało się wszystko.

- Tak - odrzekł Julian, odwrócił głowę i pocałował ją w potargane, tycjanowskie włosy. - Tak, Boże Narodzenie. Czy pastorowi urodziła się córka?

- Córka. Nigdy jeszcze nie spotkałam tak szczęśliwych ludzi jak oni, mój panie. Boże Narodzenie. Czyż mogli otrzymać piękniejszy dar?

- Chyba nie - przyznał Julian i zamknął oczy.

- Trzymałam to dziecko na rękach - mówiła cicho Verity. - Najpiękniejszy dar.

- Blanche, gdzie znajdowała się plebania, o której mówiłaś? Blisko kuźni?

- Tak.

- I chodziłaś tam do szkoły? - dopytywał się. - I nauczyłaś się gry na szpinecie oraz odbierania porodów?

- T - tak - odparła niepewnie.

- Blanche, nie wiem dlaczego, ale coś mi mówi, że jesteś największą kłamczuchą pod słońcem.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała.

- Idź i przygotuj się do snu. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale jest już bardzo późno albo bardzo wcześnie.

Verity uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

- Tak, mój panie.

Cierpiętница postanowiła być dzielna.

Kiedy w śnieżnobiałej koszuli nocnej i z upiętymi do snu włosami wróciła z gotowalni, on leżał już w łóżku.

- Wchodź pod kołdrę - powiedział, odsuwając przykrycie i klepiąc zachęcająco dłonią poduszkę.

- Tak, mój panie.

Gdy już się położyła, otulił ją szczerze kołdrą i przytulił do siebie, by ogrzać jej zziębnięte ciało. Następnie odnalazł ustami jej wargi i zatonął w długim pocałunku.

- A teraz śpij - szepnął po długiej chwili.

Na te słowa Verity gwałtownie otworzyła oczy.

- Ale... - zaczęła.

- Ale nic - odrzekł. - Jesteś kompletnie wyczerpana, więc trudno dawać ci rozkosz i samej ją brać. Śpij!

- Ale... - próbowała w dalszym ciągu protestować, lecz on uciszył ją kolejnym

pocałunkiem.

- Nie chcę nic słyszeć o pięciuset funtach i konieczności zasłużenia na nie - burknął. - Obiecałaś, że przez tydzień będziesz posłuszna mojej woli. A więc dzisiejszej nocy taka właśnie jest moja wola. Śpij.

Czekał na dalsze protesty, lecz dziewczyna jedynie głęboki westchnęła. Zasnęła prawie natychmiast.

Zabawna rzecz, że wcale nie czuję się sfrustrowany ani oszukany, myślał, czując przytulone do siebie szczupłe, kształtne to kobiece ciało. Przeciwnie, czuł się rozluźniony, spokojny i senny jak mężczyzna, który ma za sobą długie, miłosne igraszki.

Po chwili zasnął i on.

Następnego ranka Verity obudziła się później niż zwykle. Przeciągnęła się, napawając ciepłem posłania, po czym całkowicie się rozbudziła, uświadamiając sobie, że jest w łóżku sama. Otworzyła oczy. Juliana nie było. Nie było go w sypialni.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

Wicehrabia spał z nią w jednym łóżku. Tylko tyle. Tulił do siebie, a następnie kazał spać, lecz w jego objęciach i pocałunkach była czułość. Czyżby tylko to sobie wyobrażała? Z całą pewnością nie był zagniewany.

Nieoczekiwanie pomyślała, że Julian jest jednak niebywale sympatycznym człowiekiem. Zerwała się z łóżka i ruszyła do gotowalni. Ostatnia refleksja zdumiała ją. Od samego początku wicehrabia bardzo się jej podobał, ale nigdy nie przyszłoby jej do głowy nazwać go człowiekiem sympatycznym. A już z całą pewnością nie miłym.

Umyła się w letniej wodzie i włożyła białą, wełnianą suknię, którą uszyła sobie jesienią, gdy przestała nosić żałobę po ojcu. Suknia była prosta w kroju, z wysokim kołnierzykiem i długimi rękawami. Verity najbardziej podobała się właśnie prostota tego stroju. Zaczesała włosy i jak zwykle upięła je w kok. Po raz ostatni przejrzała się w lustrze.

A może by tak...? Popatrzyła na zwyczajny kołnierzyk sukni.

Otworzyła szufladę, w której trzymała swoje rzeczy, i wyjęła z niej pudełeczko. Klejnocik był przepiękny i musiał kosztować fortunę. Łańcuszek był misternej roboty. Dotknęła koniuszkiem palca gwiazdy, chwilę się wahała, po czym wyjęła wisiorek z pudełka, pochyliła głowę, uniosła ręce i próbowała zapiąć zameczek łańcuszka.

- Pozwól, że ci pomogę - rozległ się za jej plecami głos.

Poczuła na dłoniach dotyk czyichś palców.

Ze schyloną wciąż głową czekała, aż Julian upora się z zapięciem.

- Dziękuję - powiedziała na koniec i zerknęła w lustro.

Julian położył jej dłonie na ramionach. Verity spostrzegła, że jak zwykle jest nienagannie ubrany.

- Ona jest piękna - powiedziała cicho Verity, wskazując gwiazdę.

- Wiem - odrzekł, odwracając jej twarz w swoją stronę. - Czyżbym widział w twoich oczach smutek, Blanche? Masz wszelkie prawo nosić tę gwiazdę.

Verity uśmiechnęła się i dotknęła palcami wisiora.

- To naprawdę piękny prezent - oświadczyła. - Ja również; mam coś dla ciebie.

Powiedziała to kierowana impulsem. Gdy opuszczała Londyn, nie myślała o żadnych świątecznych prezentach. Traktowała Juliana jako swego pracodawcę, który płacił za nieograniczone używanie jej ciała. Nawet nie zaświtało jej w głowie, że wicehrabia mógłby stać się w jakiś osobliwy sposób jej przyjacielem. Kimś, na kim zacznie jej zależeć. Kimś, kto się o nią zatroszczy.

Odwróciła się do szuflady i sięgnęła na samo jej dno. Wprost nie mieściło się jej w głowie, że mogłaby komuś oddać talię skarb, i to oddać właśnie jemu. A jednocześnie wiedziała, a chce mu go podarować, wiedziała, że postępuje słusznie. Nit, nie był to żaden wymyślny ani drogi podarunek. Ale rzecz ta należała do jej ojca.

- Proszę - powiedziała, podając na wyciągniętej dłoni podarek. Prezent nie był nawet niczym owinięty. - To bardzo cenna dla mnie rzecz. Należała do mego taty. Podarował mi ją, kiedy opuszczałam dom. Chcę ci to dać.

Była to starannie złożona chustka wykonana z najwytworniejszego, delikatnego płótna. Ale tylko chustka.

Julian wziął ją do ręki, po czym popatrzył dziewczynie prosto w oczy.

- Twój podarunek jest cenniejszy od mojego, Blanche. Podarowałaś mi część siebie. Dziękuję. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Wesołych Świąt, mój panie.

- Nawzajem. - Pochylił głowę i złożył na jej ustach czuły, pełen słodczy pocałunek. - Wesołych Świąt, Blanche.

Dziewczyna czuła się naprawdę szczęśliwa, choć nieustannie wybiegała myślami do swej matki i Chastity, wciąż miała świadomość rozłąki z nimi. Ale one były razem, miały siebie, podczas gdy ona...

- Ciekawe, jak czuje się dziecko - przerwała milczenie. - Nie mogę doczekać się chwili, kiedy znów je zobaczę. Czy wciąż jeszcze śpi? Czy pani Moffatt śpi? I jak chłopcy przyjęli nową siostrzyczkę? Ciekawa jestem, czy ich ojciec będzie miał dla nich dzisiaj choć chwilę czasu. Przecież obchodzimy Boże Narodzenie, tak ważny dzień dla wszystkich dzieci.

Być może...

- Być może. Blanche - przerwał jej wicehrabia Folingsby, wpadając znów w swój zwykły, znudzony, cyniczny ton - dzisiaj znów przyjdą ci do głowy kolejne pomysły uszczęśliwiania wszystkich. Nie wątpię, że chłopcy i reszta nas będzie gonić resztkami sił, kiedy wreszcie dasz nam spokój.

- Czyżby nie podobał ci się wczorajszy dzień? - zapytała zdziwiona Verity. - Przecież trwa Boże Narodzenie, mój panie, a pan Hollander w ogóle nie poczynił przygotowań do świąt. Nie miałam innego wyjścia. Biedaczysko, u niego zapewne wszystkim zajmowały się zawsze jego matka lub krewne.

- To prawda - mruknął Julian i ciężko westchnął. - Dlatego właśnie uciekliśmy tutaj. Pragnęliśmy uniknąć w tym roku wszystkich tych ceremonii. Zamierzaliśmy spędzić spokojny tydzień z kobietami, które sobie wybraliśmy. Nie zbierać w zamieci śnieżnej jedliny, lecz kochać się w ciepłych łóżkach. Nie wypełniać domu radosną wrzawą, nie śpiewać kolęd, nie zajmować się dzieciarnią, którą rozpiera energia, i nie przyjmować żadnych porodów, lecz... no właśnie, tylko kochać się w ciepłych łóżkach.

- A zatem nie podobał ci się wczorajszy dzień - stwierdziła kompletnie zbita z tropu Verity. - Jesteś rozczarowany i zawiedziony. Zawiodłam cię. I zepsułam święta panu Hollanderowi. I...

Przyłożyła dwa palce do ust.

- Dziecko spało przez całą noc - wyjaśnił Julian. - Zaczęło marudzić dopiero przed chwilą. Pani Moffatt, która również w nocy dobrze spała, oświadczyła, że czuje się wypoczęta i zupełnie zdrowa. Jej mąż jest w siódmym niebie. Chodzi po domu i opowiada wszystkim, że jest najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Wreszcie doczekał się córki. Chłopcy dostali podarki i obejrzeni siostrę, która jednak wywarła na nich dużo mniejsze wrażenie niż na pastora. Siedzą teraz w salonie posłuszni swemu tacie, który kazał im być cicho. Kucharka wali w kuchni z zapalem garami, a służba zwija się jak w ukropie, Bertie i Debbie jeszcze nie opuścili sypialni. Podejrzewam, a kochają się w ciepłym łóżku. A ty wyglądasz piękniej niż jakakolwiek inna kobieta na świecie. Świeżutka jak zimowy poranek.

- Przykro mi, że te święta nie spełniły twoich oczekiwań powiedziała Verity.

- Naprawdę ci przykro? - Na twarzy Juliana pojawił się kpiący uśmiešek. - Nie jestem wcale pewien, czy nie spełniły moich oczekiwań. Powiem wręcz, że okazały się nader interesujące. A co więcej, jeszcze się nie skończyły. Czy masz dla nas jakieś nowe niespodzianki?

Verity zaczerwieniła się.

- Cóż... skoro są tu dzieci, ich matka jest niedysponowana, a ojciec chce cały czas spędzać przy niej... pomyślałam więc, że skoro na dworze jest tyle śniegu... i że skoro większość z nas nie ma nic szczególnego do roboty z wyjątkiem...

Na policzki wystąpiły jej krwiste rumieńce.

- Uprawiania miłości w ciepłym łóżku - podsunął Julian.

- No właśnie. Ale nie o to mi chodzi. Pomyślałam, że moglibyśmy... to znaczy jeśli ty nie chcesz robić nic innego. - Dziewczyna wyraźnie się zaplątała. - Tak, jestem chętna. Ostatecznie po to tu przyjechałam.

Julian pokazał zęby w szyderczym uśmiechu.

- A zatem zajęcia na świeżym powietrzu. Ciekaw jestem, jak do tego wspaniałego pomysłu ustosunkują się Bertie i Debbie.

- Nie mogą przecież całego dnia spędzić w łóżku! Byłoby to nawet niegrzeczne względem pastora i jego żony. Julian zaśmiał się cicho.

- Zaczynamy więc dzień - mruknął, podając Verity ramię. - Nie oddałbym go za nic, za skarby całego świata, a nawet za wszystkie ciepłe łóżka całego świata, jeśli już o to chodzi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Julian nie zmienił zdania do końca dnia, choć wcale nie przesadzał, gdy przewidywał, że Blanche dostarczy im masę zajęć, nim skończy się pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia.

Zaraz po śniadaniu zabrali dzieci na dwór, gdzie baraszkowali na śniegu. Później dołączyli do nich Bertie i Debbie. Dokazywali przez kilka godzin, nie czując nawet upływającego czasu, aż w końcu pojawił się Bloggs z wiadomością, że podano świąteczny obiad. Wyraz twarzy parobka sugerował, że kucharka obedrze ich żywcem ze skóry, jeśli natychmiast nie stawia się w jadalni.

Prowadzili zażartą walkę na śnieżki, która, zdaniem Juliana, była absolutnie nieuczciwa, gdyż po jednej stronie stał on i Bertie, a po drugiej dwaj chłopcy oraz obie młode kobiety; dwóch przeciwko czterem przeciwnikom. Gdyby Debbie należała do pułku strzelców, podczas wojny we Francji nie zostałby żaden Francuz bez przestrelonego serca. Dziewczyna miała nieprawdopodobnie celne oko, co demonstrowała ku wielkiej uciechu chłopców, którzy każdy celny rzut nagradzali radosnym okrzykiem.

Ulepili też bałwana. A raczej ulepili go Julian i Bertie, podczas gdy chłopcy tańczyli tylko radośnie wokół nich, bardziej przeszkadzając, niż pomagając... Debbie pobiegła do kuchni po węgielki, marchewki, miotłę i stary słomkowy kapelusz. Verity usiadła na śniegu i oświadczyła, że będzie oceniać postępy w pracy, co jej zdaniem było najbardziej wyczerpującym zajęciem. Na koniec wręczyła Bertiemu i Julianowi nagrodę w postaci pozostałej marchewki.

Później robili jeszcze śnieżne anioły, aż w końcu Rupert oświadczył z niesmakiem, że jest to zabawa dobra dla dziewczyn. Ale nie zrażone tą krytyką Verity i Debbie ciągnęły zabawę, podczas gdy mężczyźni i chłopcy wryli w zalegającym stromy stok śniegu rynnę i zaczęli zjeżdżać nią na złamanie karku. Zabawa skończyła się tym, że David wylądował na głowie Juliana wczepiony w jego włosy. Choć dzieciak był trochę przerażony przygodą, to jeszcze bardziej zachwycała go szalona zabawa.

Gdy przed domem pojawił się wielebny Moffatt, chłopcy natychmiast rzucili się w jego stronę i po chwili pastor siedział już po szyję w kopnym śniegu.

- Nadchodzi odwilż - stwierdziła z lekkim smutkiem Verity, kiedy wracali do domu na obiad. - Wielka szkoda.

- Taka już jest natura śniegu - odrzekł Julian, obejmując dziewczynę w pasie. -

Podobnie jak przemijającego czasu. Dlatego ludzie mają pamięć.

- Ale przynajmniej dzieci dobrze się bawiły - stwierdziła Verity, przesyłając Julianowi promienny uśmiech.

- O których dzieciach mówisz? - zapytał i pocałował ją w zimny, czerwony czubek nosa. - O tych małych? A może o tych większych? Dla mnie dzień ten zakończy się najpiękniej w chwili, gdy zasiądę już z wyciągniętymi nogami przed płonącym na kominku ogniem.

Verity skwitowała tę uwagę śmiechem.

Obiad świąteczny okazał się kulinarnym majstersztykiem. Pod koniec posiłku Bertie wezwał kucharkę i złożył jej bardzo pompatyczne gratulacje i podziękowania.

Ale dla Verity, naturalnie, wciąż jeszcze było za mało. Zapytała, czy pan Hollander zgodzi się zaprosić do salonu służbę i poczęstować ją wyśmienitym, specjalnie doprawianym piwem. Poza tym chciała osobiście podziękować im za ciężką pracę, jaką włożyli w urządzenie tak wspaniałych świąt.

- Mogę tylko poprzeć pani prośbę, lady Folingsby - odezwał się wielbny Moffatt. - Moim zdaniem nie tylko służba wykonała ogromną pracę. Moja żona i ja nigdy nie zapomnimy gorącego przyjęcia, jakiego tu doznaliśmy, oraz czulej opieki, jaką znalazły nasze dzieci. Nie wspominając już o ostatniej nocy, za którą chyba nigdy nie zdołamy się wypłacić ani pani, ani pani Hollander. Co więcej, zdajemy sobie sprawę z tego, że robiliście to wszystko z dobroci serca. Z pokorą przyjmujemy dar, jaki otrzymaliśmy od obu pań.

Debbie pociągnęła nosem, po czym hałaśliwie wytarła go chusteczką wręczoną jej przez Bertiego.

- Nikt nigdy jeszcze nie powiedział mi tak miłej rzeczy - oświadczyła. - Główna zasługa należy się Blanche.

Służba spędziła w salonie dobrą godzinę, zajadając się ciastem i popijając piwo. Bertie wręczył im świąteczne nagrody, do których dołączyli się Julian i wielbny Moffatt. Wicehrabia Folingsby nie był pewien, kto wpadł na pomysł, by znów pośpiewać kolędy, lecz odnosił nieprzeparte wrażenie, że pomysłodawczynią była naturalnie Blanche. Przy wtórze szpinetu długo śpiewali piękne, nastrojowe pieśni.

Po odejściu służby nieoczekiwanie w salonie pojawiła się pani Moffatt z noworodkiem.

Julian zawsze lubił dzieci. Musiał je lubić, gdyż podczas jego rodzinnych zjazdów zawsze pojawiała się gromada dzieciaków, i każdego, kto za nimi nie przepadał, czekał marny los. Ale nie lubił niemowlaków i noworodków. One stanowiły domenę kobiet, wymagały

jedynie karmienia, kołysania i przewijania.

Teraz jednak czuł osobliwe zainteresowanie dziewczynką Moffattów. Jej narodziny w jakiś sposób dodały Bożemu Narodzeniu życia i splendoru. A poza tym dziecko przyjęła na świat Blanche. Teraz też dziewczyna trzymała noworodka i spoglądała na niego z taką czułością, że Julian poczuł zawrót głowy. W prostej, lecz niebywale eleganckiej sukni, z twarzą tryskającą zdrowiem, radością i urodą wyglądała cudownie. Trzymała w ramionach nowo narodzone dziecko.

Gdyby było to jej dziecko, jego...

Odepchnął nieprzyjemną, natrętną myśl i spojrział dziewczynie w oczy. Ona odwzajemniła mu się uśmiechem.

Blanche! Nie mieściło mu się w głowie, że zaledwie przed tygodniem traktował ją wyłącznie jak atrakcyjną kandydatkę na kochankę. Dostrzegał jedynie jej urodę i powaby, smukłe, kształtne nogi, jędrne ciało, cudowne włosy, przepiękną twarz i nie przychodziło mu na myśl, że pod tą fasadą może kryć się człowiek.

I to jaki człowiek! Zapewne jeszcze piękniejszy niż powierzchowność, pod jaką się krył.

Ze zdumieniem skonstatował, że po prostu zakochał się w Blanche. Nigdy dotąd naprawdę nie kochał. Pożądał w życiu więcej kobiet, niż pamiętał. Czasami nawet, zwłaszcza gdy był młodszy, sądził, że się zakochał. Ale nigdy nie tęsknił za drugim człowiekiem. A teraz chciał stać się częścią Blanche, częścią jej życia, a nie tylko chwilowym użytkownikiem jej ciała.

Julian odwzajemnił dziewczynie uśmiech.

- Sądzę, że państwo są małżeństwem od niedawna - odezwała się pani Moffatt, dostrzegając tę wymianę uśmiechów.

Nie na tyle długo, by ich związek przyniósł owoce - implikowały jej słowa.

- Od niedawna, proszę pani - przyznał Julian.

Później, po herbacie i kolejnych igraszkach na świeżym powietrzu, Julian był już przekonany o słuszności swej decyzji. Niemniej o Conway myślał przez cały dzień i tęsknił za rodziną. Gdyby pobyt w Norfolkshire przebiegał zgodnie z planem, żałowałby swego postanowienia. Rozrywka, jaką planował, nieszczególnie pasowała do Bożego Narodzenia. Rozwój wypadków jednak sprawił, że Julian po raz pierwszy zrozumiał sens i urok tych świąt - miłość, gościnność, radość, serdeczność, ciepło, przyzwoitość... Lista była bardzo długa.

Czasami czuł się jak ślepiec, którego czyjaś dłoń prowadziła do czegoś, o czym nie miał pojęcia. Nie wiedział, że tego właśnie poszukuje. Zapewne prowadziła go gwiazda. Do

stajenki w Betlejem. Być może miał więcej wspólnego z trzema mędrcami, niż dotąd sądził.

W końcu gdy dzieci zaczęły już ziewać, po serdecznym, wieczornym ucałowaniu „wujków” i „cioc” pastor zaprowadził je do łóżek.

- Chyba i my pójdziemy niebawem w ich ślady. Dęb - odezwał się Bertie, szeroko ziewając. - Ja podobały ci się święta?

- Od czasu opuszczenia domu nie przeżyłam tak pięknego Bożego Narodzenia. A może nawet te święta były wspanialsze od tamtych, spędzanych w moim rodzinnym domu. Pastor jest niezwykle sympatycznym człowiekiem, a jego dzieci po prostu rozkoszne. No i dziewczynka! Nigdy nie zapomnę zeszłej nocy. Nigdy. Było to Boże Narodzenie Bożych Narodzeń.

- Też tak uważam. - Ośmielony oświadczeniem wielbnego Moffatta, że po położeniu chłopców do łóżek niezwłocznie uda się do swej żony, Bertie posadził sobie Debbie na kolanach. - Blanche, chcę ci podziękować za radość, jaką sprawiłaś nam w ciągu tych dwóch dni.

- To niemądre, co mówisz - odparła dziewczyna. - Przecież jest Boże Narodzenie. A Boże Narodzenie nie potrzebuje niczyjej pomocy.

- Nonsens - wtrącił się do rozmowy Julian. - Potrzebowało całego zastępu pasterzy, by sprowadzić ich ze stoków wzgórz. I my potrzebowaliśmy anioła, by skłonił nas do podjęcia podobnej pielgrzymki.

- Masz na myśli mnie? - zapytała, rumieniąc się po koniuszki uszu Verity. - Doprawdy dziwny to anioł. Z postrzępionymi cokolwiek skrzydłami.

Julian wstał z krzesła i wyciągnął rękę w stronę dziewczyny.

- Mamy za sobą długi i męczący dzień - oświadczył. - Zeszłej nocy spałaś tylko kilka godzin. Czas do łóżka.

Popatrzyła mu prosto w oczy. W jej wzroku nie było cienia cierpiętnictwa.

- Dobranoc, panie Hollander - powiedziała. - Dobranoc, Debbie. Dziękuję za pomoc w przygotowaniu świąt. I za radość, jaką wspólnie przeżyliśmy.

Kiedy wyszła z gotowalni, Julian stał przy oknie. Miał na sobie nocną koszulę. Z płonącego na kominku ognia po pokoju promieniowało miłe ciepło.

- Czy gwiazdka wciąż jeszcze świeci? - zapytała Verity, stając obok Juliana.

- Zaszła - odparł mężczyzna. - Albo tylko skryła się za chmurami. Na dworze jest ciepło. Do jutra cały śnieg stopnieje.

- No tak - westchnęła smętnie Verity. - Koniec świąt.

- Niezupełnie.

Objął ją, a ona położyła mu głowę na ramieniu. Odniosła wrażenie że gest ten jest całkiem naturalny. Czuła się wspaniale, zupełnie jakby uwierzyła w bajkę, że oboje należą do siebie. Tego popołudnia, będąc w salonie, wyobrażała sobie nawet, że to ona urodziła dziecko... ich dziecko.

- Blanche - powiedział cicho Julian.

I nagle tulili się w gorącym uścisku i całowali z taką pasją, jakby rzeczywiście stanowili jedność, przekonani, że szczęście, pełne spełnienie i spokój mogą uzyskać tylko razem.

- Blanche, kochanie.

Całował jej skronie, policzki, szyję i usta.

Jej nie wystarczyło już dotykać go ustami, językiem, ramionami, dłońmi. Muskała go piersiami, biodrami, brzuchem, udami. Pragnęła... och, pragnęła, pragnęła i pragnęła. Był gorący i muskularny. Biła od niego męskość. Czuła się przy nim bezpieczna, pewna siebie. Odnosiła wrażenie, że stanowi jakąś jej część, której zawsze jej brakowało. Pragnęła go. Pragnęła do utraty tchu. Pragnęła całego.

Nie wiedziała nawet, kiedy rozpiął jej koszulę nocną. Nie dbała o to. Chciała go mieć jeszcze bliżej siebie. Pragnęła jego rąk, a następnie ust na swych piersiach. Pragnęła... och, tak.

- Och, tak - szepnęła schrypniętym głosem. Wplotła palce w jego włosy i odchyliła do tyłu głowę, kiedy on zaczął ssać najpierw jedną sutkę, a następnie drugą; pieścił je czubkiem języka, sprawiając, że między udami czuła rozkoszną falę żarn, która zaczęła zalewać jej ciało, podchodząc aż do gardła. - Och, tak, proszę.

- Najdroższa, chodźmy do łóżka - szepnął i wziął ją na ręce.

Zsunął z niej koszulę, po czym ściągnął przez głowę swoją.

Obserwowała go spod przymkniętych powiek w ruchliwym blasku płomieni. Był piękny, piękny.

- Chodź - szepnęła, wyciągając do niego rękę. - Chodź.

Jego dłonie i usta błędziły po całym jej ciele, oddawały jej cześć, podniecały. Ona też go dotykała, badała go, napawała się nim. Ale nie śmiała dotknąć go tam, choć coraz bardziej była świadoma tej jego części - gorącej, nabrzmiałej. A on dotykał jej tam, gdzie Verity nigdy nie podejrzewała, że ktoś mógłby jej dotykać; dotykał jej dłońią, palcami. Czuła rozkosz równie intensywną jak ból.

Nie mogła dłużej czekać.

- Proszę - powiedziała nieswoim głosem. - Proszę.

- O, tak - odrzekł, kładąc się między jej wyciągnięte ramiona, między jej uda, opadając na nią całym ciężarem ciała. - O, tak, tak, najdroższa.

W pierwszej chwili myślała, że to niemożliwe. Ale on napał na nią i ona była zdumiona, kiedy stali się jednością.

- Rozluźnij się - szepnął jej w ucho. - Rozluźnij. Och, kochana, nie chcę sprawiać ci bólu.

Nie czuła bólu. Była tylko zaskoczona, zdziwiona i ogarnęła ją na chwilę panika, gdyż pomyślała, że nie wejdzie w nią głębiej. Ale on napierał. W końcu poczuła ból, a on napał jeszcze mocniej i wszedł głęboko, głęboko. Uniosła nogi i objęła go nimi w pasie. Julian głośno jęknął.

I wtedy, gdy spodziewała się ekstazy, on poruszył się w niej. Wyszedł z niej.

- Nie! - zaprotestowała.

Ale on podniósł głowę, popatrzył jej w twarz i pocałował w usta.

- Tak, właśnie tak - szepnął.

I znów się w niej zagłębił. I wyszedł. I znów wniknął w jej wnętrze.

W kilka minut, a może godzin później - czas przestał już odgrywać jakąkolwiek rolę - nadeszła ekstaza. Narastała i narastała, w dziewczynie napinał się każdy wewnętrzny mięsień, aż w końcu przyszło przyprawiające o zawrót głowy spełnienie. Przyszło rozluźnienie i nieziemski wprost spokój.

- Najdroższa - szepnął rozgorączkowany Julian - aniele.

- Kochany - usłyszała własny szep - kochany, kochany.

Kiedy wreszcie Julian zsunął się z niej i wziął ją w ramiona, Verity szybko zasnęła. On, nie budząc jej, szczelniej otulił ją kołdrą.

Verity po przebudzeniu się nie żywiła już najmniejszych złudzeń. Uległa nastrojowi świąt Bożego Narodzenia.

Uległa doświadczonemu uwodzicielowi, co zresztą nie znaczyło, że oparłaby mu się, gdyby nawet o tym wcześniej wiedziała. Nie, nie odmówiłaby mu. Uczyniła to, by dotrzymać układu, jaki zawarła w Londynie. Ale strzegłaby swego serca. Nie dopuściłaby tam miłości.

Ten mężczyzna uważał ją po prostu za swoją kochankę.

A ona zawarła układ, zarabiała pieniądze.

Tak więc teraz już nieodwołalnie została kobietą upadłą. Ladacznicą. Zrobiła to dla Chastity. Czysta ironia! Mimo to na zawsze już miała zostać ladacznicą.

Nie wiedziała, jak rano popatrzy Julianowi w twarz. Nie zniosłaby jego domyślnego, pełnego triumfu spojrzenia. Nie mogłaby grać dalej swej roli. Nie mogłaby zostać jego stałą

kochanką, służyć mu chętnie wedle jego zachcianek aż do czasu, kiedy znudzi się nią i bezpardonowo odprawi. Nie wiedziała nawet, jak zdoła dotrzeć do końca tygodnia, do chwili wygaśnięcia umowy.

Zapewne pod koniec tygodnia nie będzie miała już siły, by z nim zerwać.

Nie miała jednak wyboru. Musiała wytrwać. Gdyby nawet jakoś udało się jej opuścić Norfolkshire, wciąż pozostawało jeszcze dwieście pięćdziesiąt funtów do zarobienia. A on jej już taką samą sumę wypłacił. Czy ją odrobiła? Tym, co wydarzyło się przed kilkoma godzinami, oraz ochotą, jaką wyrażała w dwie poprzednie noce? Dwieście pięćdziesiąt funtów! Jako guwernantka na taką kwotę musiałaby pracować cztery lata.

Istniała droga ucieczki. W odległości trzech mil od domu leżała wioska. Każdego ranka zatrzymywał się w niej dylizans. Słyszała, jak mówiła o tym służba. Ale przecież na dworze zalegał głęboki śnieg. I czy w drugi dzień Bożego Narodzenia dylizans kursuje? W ciągu nocy większość śniegu stopniała, temperatura znacznie wzrosła. Dlaczego więc dylizans miałby nie kursować?

Poza tym, gdy wyjdzie z łóżka, a następnie zacznie się ubierać, z całą pewnością obudzi Juliana.

Ale teraz, skoro raz przyszedł jej do głowy ten szalony pomysł, nie potrafiła się go pozbyć. Poza tym nie mogła spojrzeć Julianowi w twarz. Gdyby nic do niego nie czuła, sprawa byłaby prosta. Ostatecznie zawarła układ świadomie i wiedziała, na czym jej zajęcie ma polegać. Była gotowa robić z nim to, co zrobiła minionej nocy, tyle razy, ile on by sobie zażyczył. I wcale by się przed tym nie wzbraniała.

W swej naiwności nie uwzględniła jednak tego, że sama zaangażuje się uczuciowo. Nie przypuszczała, że dwa dni spędzone w towarzystwie mężczyzny sprawią, iż dojrzy w nim człowieka; człowieka miłego, uroczego, serdecznego i kochanego. I nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby się zakochać. Gorzej. Pokochała go i na przekór wszystkiemu, w dalszym ciągu go kochała, i miała kochać już do końca swych dni.

Ostrożnie wysunęła się z jego objęć i wyszła z łóżka. W pokoju panował przenikliwy chłód i naga Verity natychmiast zaczęła drzeć z zimna. Zgarnęła z ziemi porzuconą koszulę i na palcach przeszła do gotowalni, której drzwi na szczęście były uchylone. Wślizgnęła się do środka i cicho przekręciła klucz.

Zapaliła jedną świeczkę, szybko umyła się w lodowatej wodzie, nałożyła najcieplejszą odzież, spakowała rzeczy i przez chwilę zastanawiała się, czy dopisze jej szczęście i uda się jej niepostrzeżenie opuścić dom.

Nie zabrała wszystkiego. Na umywalce zostawiła sygnet i jeszcze coś. Straciła kilka

drogocennych chwil, zanim znalazła tę rzecz w szufladzie, gdzie odłożyła ją wieczorem. Czyż mogła ją zabrać ze sobą? Bardzo tego chciała. Była to jej jedyna pamiątka, ale ona nie potrzebowała takich pamiątek. A w tych okolicznościach był to prezent zbyt ekstrawagancki.

Dotknęła delikatnie opuszkami gwiazdy na łańcuszku, po czym położyła wisiołek na widocznym miejscu. Nie musiała wracać do sypialni. Z gotowalni prowadziły drugie drzwi prosto na korytarz.

Szybko przeszła podjazdem do głównej drogi. Z radością spostrzegła, że przez noc śnieg stopniał na tyle, że bez trudu mogła dotrzeć do wioski.

Tęskniła za gwiazdką na łańcuszku. I za gwiazdką bożonarodzeniową, której widok sprawił jej tyle radości i napełnił serce taką nadzieją. I za mężczyzną, który wciąż pogrążony był we śnie, a z którym jeszcze przed niecałą godziną spoczywała w łóżku.

Nigdy go już nie zobaczy. „Nigdy” - okrutne słowo.

I zawsze już będzie go kochać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Odnalezienie Blanche zajęło Julianowi trzy miesiące. Chociaż wpadł na jej trop, ponownie go stracił. Tak jak stracił ją na Boże Narodzenie.

Kiedy obudził się, za oknem panował jasny dzień. Częściowo był rozbawiony, a częściowo gniewny za to, że dziewczyna opuściła łóżko i sypialnię. Bez pośpiechu umył się, ogolił, ubrał, po czym wyruszył na poszukiwania Blanche. Nie zaalarmował go fakt, że nigdzie w domu ani poza domem jej nie znalazł. Doszedł do wniosku, że przebywa w pokoju pani Moffatt i tam zachwyca się dzieckiem.

Upłynęło prawie pół dnia, kiedy w końcu dotarła doń prawda. Blanche zniknęła, zabierając cały swój dobytek, z wyjątkiem gwiazdy i sygnetu. Z całych sił ścisnęła wisiorek w dłoni.

Opuściła go.

Dlaczego?

Jeszcze tego samego dnia wyjechał do Londynu, wymyślając uprzednio szereg wymówek dla Bertiego, Debbie i Moffattów. Natychmiast po powrocie do miasta przystąpił do energicznych poszukiwań. Blanche porzuciła pracę w operze bez słowa wyjaśnienia. Nie zaangażowała się do żadnego innego teatru - sprawdził wszystkie. Żadna z jej dawnych koleżanek tancerek nie wiedziała, co się z nią stało. Od Bożego Narodzenia Blanche jakby zapadła się pod ziemię.

Przy pomocy łapówki wydobył od kierownika opery adres dziewczyny, lecz okazał się on fałszywy. Właścicielka domu oświadczyła, że żadna Blanche Heyward u niej nie mieszka. Nie mieszka też nikt, kto odpowiadałby opisowi dziewczyny z wyjątkiem panny Ewing. Ale panna Ewing, podobnie jak żadna z pozostałych lokatorek wynajmujących mieszkania, nie pracuje w operze. Też pomyśl! - oburzyła się właścicielka, obrzucając Juliana płonąącym wzrokiem. Julian był tak zdesperowany, że rozważał pomysł, by pojechać do Somersetshire i tam szukać rodzinnej kuźni Blanche. Ale ile kuźni znajduje się w Somersetshire?

Blanche najwyraźniej nie chciała, by ją odnalazł.

Następnie próbował o niej zapomnieć. Boże Narodzenie okazało się nader sympatycznym interludium, głównie dzięki Blanche, a spędzona z nią noc stanowiła jedynie lukier na i tak słodkim już torcie. I tylko tyle, nic dodać, nic ująć, Nikt nie wlecze za sobą klimatów Bożego Narodzenia przez cały rok. Święta mijają i każdy wraca do swych codziennych zajęć.

Pod koniec stycznia Julian złożył trzydniową wizytę w Conway, gdzie doznał najserdeczniejszego przywitania ze strony rodziców oraz srogiej reprimandy od swej młodszej siostry. Po południu zasiadł z ojcem w bibliotece. Na wstępie oświadczył, że nie zamierza poślubić lady Sarah Plunkett. Zanim ojciec zaczerpnął tchu, by zapytać - tak, z całą pewnością o to właśnie chciał zapytać - z kim w takim razie ma zamiar się ożenić, Julian dodał, że na świecie istnieje tylko jedna kobieta, którą mógłby poślubić, ale ona za niego nie wyjdzie, ponieważ nie stanowi dlań odpowiedniej partii.

- Odpowiednia partia? - zainteresował się ojciec, unosząc brwi.

- To córka kowala - wyjaśnił syn.

- Kowala? - Ojciec Juliana ściągnął usta. - I ona nie chce cię poślubić, Julianie? Ma zatem więcej zdrowego rozsądku niż ty.

- Ale ja ją kocham.

Znaczące „hm” stanowiło jedyną odpowiedź ojca. Zapewne jego zdaniem inny komentarz nie był potrzebny. Nie istniała groźba, iż mariaż taki dojdzie do skutku.

Po powrocie do Londynu Julian wszczął na nowo żmudne poszukiwania, aż pewnego dnia w marcu, po południu, dostrzegł Blanche Heyward na zatłoczonej Oxford Street. Znajdowała się po drugiej stronie ulicy, gdzie wyszła właśnie ze sklepu modystki. Julian, nie wierząc własnym oczom, stanął jak wryty. Wtedy ich wzrok spotkał się i Julian pojął, że to nie pomyłka. Rzucił się gwałtownie w stronę dziewczyny, ale ona jeszcze szybciej ruszyła chodnikiem.

W tej samej też chwili kariołka dżentelmena weszła w kolizję z wozem handlarza, a miary bałaganu dopełnił jeszcze wielki powóz wynajęty przez dwóch panów obładowanych pakunkami.

Handlarz klął ordynarnie, dżentelmen nie pozostawał mu dłużny. Wokół powozów skupił się tłum gapiów zainteresowanych rozgrywającym się spektaklem. W tłumie tym ugrzązł również Julian. Kiedy w końcu udało mu się dostać na drugą stronę ulicy. Blanche Heyward dawno już tam nie było. Ruszył spieszną ulicą w kierunku, w którym szła, i zaglądał do każdego mijanego sklepu, w boczne alejki i ślepe zaułki. Dziewczyna zniknęła bez śladu. Jak również jej dużo młodsza towarzyska.

Julian pojął jedno. Jeśli nawet Blanche żałowała ucieczki z domku myśliwskiego Bertiego, to teraz była rada ze swego postępuku. Nie chciała, by ją odnalazł. Nie zamierzała nawet zgłaszać pretensji do drugich dwustu pięćdziesięciu funtów.

Tak dobrze udawała cierpienicę, że tamtej nocy nawet tego nie zauważył. Był głupcem, sądząc, że kierują nimi podobne motywy. Uznał, że Blanche podoba się utrata

dziewictwa z hulaką, który bardzo hojnie wynagradzał jej względy. Jakże wielkim okazał się głupcem!

Przestał jej poszukiwać. Żywił tylko nadzieję, że dwieście pięćdziesiąt funtów, wystarczyło dziewczynie na pokrycie długów, jakie z pewnością miała, a ponadto trochę jeszcze jej zostało.

Sytuacja jednak zupełnie odmieniła się w kwietniu, kiedy udał się na raut do swej najstarszej siostry. W salonach jej domu tłoczyli się liczni goście, a ona, trzymając brata pod rękę, oprowadzała go po pokojach. Zaczynał się sezon i do miasta przybywało coraz więcej osób. W pewnej chwili Julian zatrzymał się jak wryty.

- Kto to jest? - zapytał, wskazując dyskretnie głową szczupłą, śliczną dziewczynę stojącą w towarzystwie starszej damy oraz generała sir Hectora Ewinga i jego małżonki.

- Generał? - zapytała siostra. - Nie znasz go, Julianie! To...

- Chodzi mi o tę młodą dziewczynę.

Siostra popatrzyła ze zdziwieniem na brata, po czym domyślnie się uśmiechnęła.

- Jest bardzo ładna, prawda? To bratanica generała, panna Chastity Ewing.

Ewing. Ewing!!! To samo nazwisko nosiła kobieta mieszkająca pod fałszywym adresem, jaki podała kierownikowi opery Blanche Heyward. A panna Chastity Ewing była tą młodą osóbką, która towarzyszyła na Oxford Street Blanche.

- Znam generała, Elinor, ale tylko przelotnie - zwrócił się Julian do siostry. - Czy mogłabyś przedstawić mnie pannie Ewing?

- Porażony od pierwszego wejrzenia? - zapytała siostra i wybuchnęła perlistym śmiechem. - To nader interesujące, Julianie. Chodź.

- Kto? - spytała słabym głosem Verity.

Czekała na powrót siostry, choć było bardzo późno, a dziewczęta nie dzieliły już wspólnego pokoju.

- Wicehrabia Folingsby - powtórzyła Chastity. - W każdym razie wydaje mi się, że dobrze powtarzam to nazwisko. Jest bratem lady Blanchford. To bardzo przystojny, czarujący i dystyngowany młodzieniec.

Verity doznała zawrotu głowy. W końcu było to nieuchronne. Wiedziała, że Julian przebywa w Londynie - widziała go - a zatem pojawiał się na wszelkich spotkaniach i wieczorkach, zwłaszcza teraz, kiedy zaczynał się sezon. Ich stryj, gdy wrócił już z Wiednia w tydzień po Bożym Narodzeniu, nalegał, by Chastity towarzyszyła mu na wszystkich balach i rautach. Verity miała nadzieję, że jej młodsza siostra, choć bardzo powabna, jest zbyt młoda, by przyciągnąć uwagę wicehrabiego Folingsby.

- Naprawdę?

Chastity popatrzyła na nią z łobuzerskim uśmieszkiem i usiadła obok niej na łóżku. Wciąż miała na sobie wieczorową suknię.

- Oczywiście. Ale ty go przecież znasz, Verity.

- Naprawdę?

Chastity z uciechy klasnęła w dłonie.

- Naturalnie. A z twojego zmieszania wnioskuję, że pamiętasz go doskonale. Wszystko nam opowiedział o Bożym Narodzeniu.

Verity odniosła wrażenie, że z głowy odpływa jej cała krew, że twarz ma martwą i zimną.

Chastity ujęła siostrę za lodowatą, bezwładną dłoń.

- Kochana Verity - powiedziała serdecznie - podejrzewam, że wmówiłaś sobie, że cię nie zauważył. Ale to nieprawda. Jakiego dżentelmena nie ujęłabyś swoją urodą i osobowością? Bez względu na to, kimkolwiek byś była.

- Czy mama wie? - szepnęła struchlała Verity.

- Oczywiście - odparła Chastity, śmiejąc się radośnie. - Przecież przez cały czas towarzyszyła mnie i stryjowi.

- To stryj również o wszystkim wie?

Jutro rano z całą pewnością znajdą się na bruku. Czy istniał sposób, by przekonać generała, że powinien wypędzić tylko ja? Już i tak wystarczająco go rozgniewała, odmawiając udziału w spotkaniach towarzyskich. Czy wypędzi również mamę i Chastity?

- Wicehrabia wiedział, że lady Coleman wyjechała w dzień po Bożym Narodzeniu do Szkocji - wyjaśniała Chastity. - Sądził więc, że pojechałaś z nią. Wyobraź sobie jego zdumienie i radość, kiedy dowiedział się, że wciąż przebywasz w Londynie.

- Co???

Przecież żadna lady Coleman nie istniała, a on nie wiedział, że tak naprawdę Blanche nazywa się Verity Ewing.

- Och, Verity, głuptasku. - Chastity czule pogłaskała po policzku starszą siostrę. - Czyżbyś sądziła, że nie zauważył cię, kiedy byłaś tylko damą do towarzystwa lady Coleman? Sądziłaś, że nie zechce odnowić znajomości? Powiedziała mamie, że tak przygotowałaś święta, iż nie tylko lady Coleman, ale wszyscy zaproszeni goście wynosili cię pod niebiosa. Opowiedział też o przygodzie pastora i o tym, jak odebrałaś poród. Och, Verity, dlaczego nic nam o tym nie wspomniałaś? Wyznał też mamie, że pocałował cię pod pękiem jemioly. Miał przy tym bardzo szelmowski uśmiech.

- Och!

Verity zdobyła się tylko na tyle.

- Myślałaś, że o tobie zapomniał? Otóż nie zapomniał. Zapytał mamę, czy wolno mu będzie złożyć ci wizytę. I poprosił stryja o rozmowę w cztery oczy. Odeszli, zostawiając nas same. Verity, on jest cudowny. Tak cudowny, że prawie zasługuje na ciebie. Wicehrabina Folingsby. O, tak! - Chastity znów się roześmiała. - Pasuje. Teraz już rozumiem, dlaczego tak unikałaś towarzystwa. Nie chciałaś go spotkać. Obawiałaś się, że cię nie zapamiętał. Jesteś głuptaskiem!

Verity mogła tylko tulić do twarzy dłoni młodszej siostry i spoglądać na nią szeroko rozwartymi ze zdumienia oczyma. Wiedział, kim jest! Mama lub Chastity musiały coś wspomnieć o lady Coleman, a on natychmiast zorientował się, w czym rzecz, i podjął grę. I pragnął się z nią spotkać. Po co? By zapłacić resztę pieniędzy? Ale ona przecież na nie nie zarobiła. Czy chce odebrać jej dwieście pięćdziesiąt funtów danych w formie zaliczki? A największą ironią w tym było to, że jej ofiara poszła na marne. W dwa dni po powrocie z Wiednia stryj wziął na siebie wszelkie wydatki związane z ich utrzymaniem i leczeniem Chastity.

A może chce ją zmusić, by odpracowała dane jej pieniądze. Być może chce, by została jego kochanką tutaj, w mieście. Ale przecież już wie, że tak naprawdę Blanche Heyward jest bratanicą generała sir Hectora Ewinga.

Nie chciała nawet widzieć Juliana. Na samą myśl o tym ogarniała ją panika; tak samo jak tamtego popołudnia na Oxford Street.

Mimo że upłynęły już cztery miesiące, ból nie ucichł. Przeciwnie, z każdym dniem stawał się silniejszy. Nawet gdy odkryła, że ich zbliżenie nie zaowocowało dzieckiem, obok ogromnej ulgi poczuła też w sercu ukłucie żalu.

- Verity. - Oczy jej siostry lekko rozbłysły. - Pamiętasz go. Kochasz go. Nie oszukasz mnie. To cudowne. Bardzo romantyczne.

Verity wyrwała dłoni z uścisku siostry i zerwała się na nogi.

- Jesteś dziecinna! Najwyższa pora, byś poszła spać. Wprawdzie wróciłaś już do zdrowia, lecz wciąż jeszcze musisz się oszczędzać. A więc marsz do łóżka. Odwróć się, to rozepnę ci z tyłu suknię.

Chastity nie dawała się zbyć byle czym. Zerwała się z łóżka i wzięła Verity w ramiona. W oczach zalśniły jej łzy.

- Jestem zdrowa dzięki twemu poświęceniu - powiedziała. - Nigdy nie zapomnę, ile ci zawdzięczam. Spotka cię za to nagroda. Gdybyś nie podjęła pracy u lady Coleman i gdybyś

nie zrezygnowała ze spędzenia z nami świąt, nie spotkałabyś wicehrabiego. A więc widzisz, że już spotkała cię nagroda. Jestem taka szczęśliwa, że aż chce mi się płakać.

- Marsz do łóżka - odrzekła zdecydowanie Verity. - Wyciągasz zbyt daleko idące wnioski z tego, że dziś wieczorem wicehrabia Folingsby zachowywał się szarmancko. Poza tym, nie przepadam za nim.

Chastity zachichotała tylko i bez słowa opuściła sypialnię siostry.

Poprzedniego wieczora Julian odbył rozmowę z jej stryjcem, Następnego ranka obaj panowie ponownie się spotkali, by przedyskutować i ustalić szczegóły. A tego popołudnia rozmawiał z matką Verity. Pani Ewing poleciła córce zejść do salonu, gdzie czekał Julian, bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek dotąd w życiu.

Drzwi cicho się otworzyły, a następnie zamknęły. Verity oparła się o nie plecami. Ręce trzymała za sobą, zaciskając je na gałce. Miała na sobie jasnozieloną, muślinową suknię o prostym kroju. Włosy też upięła w nieskomplikowany węzeł w tyle głowy. Znacznie schudła i zmizerniała. Niemniej wciąż pozostawała kobietą o niezwykłej urodzie. Julian nisko się skłonił.

- Panna Ewing? - zapytał.

Ona przez chwilę bacznie mu się przyglądała i w końcu puściła gałkę drzwi.

- Tak, mój panie.

- Panna Verity Ewing - powiedział. - To niewłaściwe imię.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała.

- Verity - powiedział.

- Zostało mi dwieście funtów - powiedziała cicho, podnosząc dumnie głowę. - Nie potrzebuję tych pieniędzy. Chcę ci je zwrócić. Mam nadzieję, że pięćdziesiąt funtów puścisz w niepamięć. Ostatecznie na nie zarobiłam.

- Sądzę, że twoje dziewictwo warte było pięćdziesięciu funtów - oświadczył. - Co z resztą?

- Mam je tutaj.

Zauważył, że ma ze sobą niewielką torebkę. Otworzyła ją i wyjęła rulon banknotów. Wyciągnęła je w jego stronę, a kiedy Julian nie wykonał najmniejszego ruchu, sama do niego podeszła. Wziął pieniądze w jedną rękę, w drugą torebkę i położył wszystko na stojącym obok niego krześle.

- Zadowolona? - zapytał. - Nasza umowa wygasa?

Verity skinęła w milczeniu głową i popatrzyła na pieniądze.

- Zwróciłabym ci je wcześniej, ale nie wiedziałam, jak mam to zrobić. Wybacz.

- Verity - powiedział cicho - kochana.

Zamknęła oczy.

- Nie - powiedziała z całą mocą. - Między nami wszystko skończone. Nie zostanę twoją kochanką. Może i jestem kobietą upadłą, ale... twoją kochanką nie będę. Proszę, daj mi teraz spokój i odejź. Dziękuję, że nie wyjawileś prawdy mojej matce i siostrze. Ani stryjowi.

- Kochana. - Julian stracił całą pewność siebie. Verity Ewing, alias Blanche Heyward, jak już przekonał się na własnej skórze, miała niezłomną wolę i wielki hart ducha. - Czy muszę odejść? A może zostanę... na zawsze? Czy wyjdiesz za mnie?

Otworzyła oczy i popatrzyła nań szyderczo.

- A, naturalnie. Jestem córką dżentelmena, i ty również jesteś dżentelmenem. Nie, mój panie, nie musisz silić się na przyzwoitość. Ja również cię nie zdradzę.

- To był twój pierwszy raz - odparł Julian. - Nie spodziewałem się, że zrozumiesz; przecież nie miałaś doświadczenia, Kiedy kupuje się seks, robi się to dla rozkoszy, w każdym razie odnosi się to do mężczyzn. Ale tym razem było to coś więcej. W takim sensie, że dla mnie też był to pierwszy raz. Nigdy przedtem nie kochałem. To stało się z miłości, Verity. Wiedziało o tym moje ciało, kiedyśmy się kochali, wiedział o tym mój umysł, gdy już było po wszystkim. Stałaś się dla mnie niezbędna jak powietrze, którym oddycham, samym życiem, duszą. Myślałem, że odczuwasz to samo. Prawda dotarła do mnie dopiero wtedy, gdy odeszłaś. Czy tamtego dnia przenikał cię taki sam ból, jaki dręczył i mnie? Nigdy jeszcze bardziej nie cierpiałem.

- Byłam prostą córką kowala, tancerką w operze, ladacnicą. Nie zaproponowałbyś mi małżeństwa. Od tamtego czasu nic się nie zmieniło, mój panie. Jestem córką pastora, lecz w dalszym ciągu ladacnicą. Nie zostanę ani twoją kochanką, ani twoją żoną.

Ujął w ręce obie jej dłonie. Były zimne jak lód.

- Oddasz mi pieniądze - powiedział gwałtownie - co do pensa. I odwołasz te straszne słowo, jakim się sama określiłaś, Powiedz mi jedno. I powiedz prawdę, Verity. Dlaczego spędziłaś ze mną tamtą noc? Czy po prostu zarabiałaś na życie? A może byłaś jedynie kobietą dającą i biorącą miłość i nie myślałaś o pieniądzach? Spójrz na mnie i odpowiedz.

Verity podniosła głowę.

- Powiedz.

Julian stwierdził, że mówi szeptem.

Od odpowiedzi dziewczyny zależała cała jego przyszłość, jego szczęście.

- Jak mogłabym cię nie kochać? - odrzekła. - To były czarodziejskie dni, a ja straciłam czujność. Pojechałam tam z cynicznym, aroganckim hulaką. Dopiero później odkryłam, że

mężczyzna ten ma wiele ciepła, jest miły, czuły, potrafi kochać. Nie miałam doświadczenia w tych sprawach, mój panie. Jak mogłabym nie pokochać cię ciałem, duszą i sercem? Kiedy to się działo, nie docierało do mojej świadomości, że staję się ladacnicą.

- Wcale się nią nie stałaś - zaprzeczył gwałtownie Julian. - Stałaś się moja, a ja twój. To, co zrobiliśmy, było złe. Ale ludziom wybaczano już cięższe winy. Pozwól, że zanim jeszcze raz cię poproszę, coś ci wyznam. Po Bożym Narodzeniu odwiedziłem ojca w Conway Hali. Mój ojciec to earl Grantham. Czy o tym wiesz? Jestem jego dziedzicem. Od jakiegoś czasu bardzo mu zależy na tym, bym ożenił się i spłodził potomka, ponieważ nie ma więcej synów. Verity, kocham swego ojca. Wiem, co jestem winien jemu i do czego zmusza mnie moja pozycja społeczna. Oświadczyłem mu wyraźnie, że jeśli już kogoś poślubię, to tylko ciebie. Uważałem cię wówczas za córkę kowala i tancerkę w operze, ale w żadnym razie za ladacnicę. To, co zrobiliśmy, wynikało z czystej miłości, nie kupczenia ciałem.

- I co na to twój ojciec?

Twarz Juliana rozjaśnił pogodny uśmiech.

- Verity, on bardzo mnie kocha. Najważniejsze dla niego jest moje szczęście. W naszej rodzinie zawsze miłość i uczucie stawiano najwyżej. Dałby mi, choć zapewne niechętnie, swoje błogosławieństwo, nawet gdybym chciał poślubić córkę kowala.

Dziewczyna spuściła wzrok i popatrzyła na ich złączone ręce. Julian ścisnął jej dłonie z całych sił.

- Kochana - powiedział - panno Ewing. Czy wyświadczysz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Verity nie podnosiła wzroku.

- Wtedy trwało Boże Narodzenie - powiedziała cicho - a w Boże Narodzenie wszystko wygląda inaczej. Bardziej różowo, bardziej nierealnie i bajkowo. To błąd. Nie powinienś być tu przychodzić. Nie wiem, jak odkryłeś, kim naprawdę jestem.

- Verity, oboje popełniliśmy błąd. Zachowujemy się, jakby Boże Narodzenie trwało tylko przez jeden dzień w roku, jakby spokój, nadzieja i szczęście istniały tylko wtedy. Ale to nie tak. Czyżby to, co wydarzyło się w Betlejem, miało przynieść światu radość wyłącznie w ten jeden dzień w roku? Jakże uboga jest nasza wiara w moc religii. Jak niewiele od niej wymagamy. Dlaczego Boże Narodzenie nie może trwać do dziś, dla ciebie i dla mnie?

- Bo nie - odparła krótko Verity.

Julian puścił jej dłonie i wsunął rękę do kieszeni płaszcza.

- Ależ tak - odrzekł. - Co powiesz o tym? - Wyciągnął na otwartej dłoni płócienną chusteczkę, którą dostał w prezencie świątecznym od Verity.

Ostrożnie ją rozwinął. W środku znajdował się złoty wisiołek z gwiazdą.

- Och!

- Czy pamiętasz, co powiedziałaś o tej gwiazdzie, kiedy ci ją dawałem?

- Sprawiałam ci przykrość.

- Tak. Sprawiałaś. Powiedziałaś, że Gwiazda Betlejemska zesłana została przez niebiosa, by nieść nadzieję, by prowadzić poszukujących mądrości i sensu życia. I oto ją masz. Leży między nami. Sądzę, Verity, że w Boże Narodzenie poszliśmy za nią ślepo, nic nie rozumiejąc, dokładnie jak tamci trzej mędrcy. I doprowadziła nas do siebie. Dała nam nadzieję. Dała miłość. A w przyszłości, jeśli za nią podążymy, ofiaruje nam jeszcze więcej, ofiaruje miłość i szczęście. Chodź ze mną. Chodź ze mną do końca tej drogi. Zrób ten jeden nieodwołalny krok. Proszę.

Dziewczyna popatrzyła na Juliana oczyma pełnymi łez.

- Czy i dziś może być Boże Narodzenie? - spytała. - Dziś i każdego następnego dnia?

- I nie będą to żadne czary - odparł. - To od nas zależy, czy każdego dnia będziemy święcić Boże Narodzenie. Czeka nas dużo ciężkiej pracy. Ani na chwilę nie wolno nam zapomnieć, że każdy dzień naszego życia jest cudem.

- Och, mój panie!

- Julian.

- Julianie.

Popatrzyła nań takim wzrokiem, że w jednej chwili opuściły go wszelkie obawy. Twarz Verity rozjaśnił promienny uśmiech.

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał szeptem.

Verity ujęła jego twarz w dłonie.

- Powinnam bardziej ufać swemu sercu niż głowie - odparła. - Serce mówiło mi, że łączy nas miłość. Rozum temu zaprzeczał. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Julianie, najdroższy? Jeśli tylko jesteś pewien swego uczucia... Tak, wierzę ci. Ja też cię kocham. Kochałam cię miłością bolesną. Tęskniłam, a jednocześnie nie ufałam ci. Kocham cię.

Zamknął jej usta pocałunkiem. Objął ją ramionami i tulił do siebie. Trzymał w objęciach swój największy skarb i przysięgał w duszy, że nigdy już nie pozwoli jej odejść, że nigdy na jedną chwilę nie zapomni, iż dana mu została niepowtarzalna szansa - na którą zresztą nie zasłużył - udania się na pustynię, gdzie nieznaną drogą w nieznanym kierunku ruszył w pogoń za błędną gwiazdą. Nigdy nie przestanie się cieszyć, że on, cyniczny, arogancki i pewien siebie, ruszył w drogę, by odzyskać spokój w miłości.

Gdy tonęli w pełnych żaru i pasji objęciach, ścisnął w dłoni płócienną chusteczkę,

najcenniejszą pamiątkę po jej ojcu, w którą zawinięta była złota gwiazda. Po chwili zawiesił klejnot na szyi Verity.

Dary Bożego Narodzenia.

Dary miłości.